ROK XII. PAŹDZIERNIK — 1912 ROK. TOM X (CXXXI).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: Ul. Aleja Jerozolimska Nr. 29.

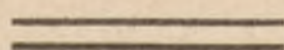
1912.

Drukarnia Polska, Warszawa, Jasna 18/20.

Treść tomu październikowego 1912 roku,

ogólnego zbioru CXXXI.

ILLUSTRACYE:





NA KRESACH.

Powieść osnuta na tle stosunków wielkopolskich.

(Ciąg dalszy).

Dziś rano miał się odbyć pojedynek. Wszyscy myśleli, że polski graf zginie, bo pan von der Mark najtęższy strzelec na całe Pomorze!... Strzelano do baryery... graf zaledwie wziął pistolet do ręki... nie zniżył się ani kroku, tylko mierzył,.. a mierzył w kolano... i w kolano trafił... na trzydzieści kroków! Potem zapalił cygaro i odjechał.

Syn negocyanta opuścił głowę, a głos wewnętrzny rzekł mu:

— On ją obronił, obronił dzielnie! Ona za to kochać go będzie, bo on jej godny! A w tobie podła krew negocyanta... Czemuż zaraz nie wyzwałeś go? Twoja zimna krew nie zawrzał odrazu, jak krew szlachecka... tyś jej nie godzien!

Gdy wreszcie wypróżniono flaszki odezwał się jeden z poruczników:

— I czemuż tak smutny jesteś, Ottonie? Uczyniliśmy wszystko, czegoś od nas żądał.

—Dziękuję wam, przyjaciele. Ale ja jestem zhańbiony!...

— Zhańbiony? Jakto? — zapytali.

— Całe miasto wie o tem, że mnie von der Mark publicznie obraził, ojca mego nazwał największym szachrajem, a ja — stchórzyłem!

— Wszak nie stchórzyłeś — miałeś chęci.

— Ale świat tak będzie sądził!

— Zresztą, gdy von der Mark wyzdrowieje, za jakie pół roku, bo kości potrzaskane na miazgę...

— Ale do tego czasu świat mnie potępi i zabije! — zawołał młodzieniec i z rozpaczą załamał ręce.

— Więc jest i na to rada! — krzyknął z radością jeden z poruczników, i uderzył w stół ręką.

Młodzieniec wytężonem okiem spojrzał na mówiącego.

— Będziesz się strzelał z pierwszym lepszym, który się krzywo na ciebie popatrzy — mówił dalej porucznik.

— Wyborna myśl, warta jednej butelki szampana! — zawołał drugi i zadzwonił na służącego.

— Jakto? — zapytał młodzieniec.

— Na ulicy, w teatrze, „pod czarnym łabędziem“, w kawiarni, lub gdziebądź, nastąpisz komu na nogę, szturkniesz go łokciem, wytrącisz mu cygaro i powiesz mu przytem grubiaństwo, lub coś podobnego — i sprawa gotowa! My pójdziemy z tobą!

— Jeszcze mi niejasna wasza rada — odrzekł młodzieniec — nie wiem, jakim sposobem człowiek zupełnie nieznany, niewinny...

— Jesteś strasznie młody, Ottonie, strasznie młody! Na świecie tak prostą drogą daleko nie zajdziesz! Trzeba się różnym sposobem ratować!

— A my tymczasem rozniesiemy po całym świecie, że Otton Warner strzelał się, walny chłopiec, krew nielada!

Młodzieniec stał jak posąg, nie wiedział, co się z nim dzieje.

— A teraz — rzekli, wpychając mu do rąk ogromną szklankę — teraz pij z nami zdrowie tego, z którym jutro strzelać się będziesz!

— Pij z nami! wieczorem pójdziemy szukać awantury!

Młodzieniec trzymał machinalnie szklanicę w ręku. W uszach mu szumiało, przed oczyma latały jakieś widma złowieszcze.

Wreszcie podniósł szklankę, przyłożył do ust, jednym tchem wypił co do kropli.

Gorący strumień przebiegł go od stóp do głowy, krew zawrzała mu w żyłach. Z przed jego oczu uchyliły się mary złowieszcze, a jakieś rajskie rózkoszne obrazy stanęły przed nim.

— Hej! — krzyknął i rzucił szklankę, aż w tysięce rzprysła się kawałków — gdzie jest ten, co śmie powiedzieć, że we mnie podła krew negocyanta? Pierwszy, którego dzisiaj ujrzę....

W tem otworzył drzwi służący i zapowiedział nieznajomego gościa.

Jerzy miał na sobie ubiór podróżny, dosyć zaniedbany. Na twarzy jego malowało się wielkie wzruszenie. Ręce jego drżały, oddech miał słaby, urywany.

— Jeżeli to być może — ozwał się do Ottona — prosiłbym pana o chwilę rozmowy sam na sam.

Syn negocyanta zmierzył go pogardliwie od stóp do głowy i rzekł, wskazując na dwa obłoki dymu:

— Są to moi najlepsi przyjaciele, nigdy się z nimi nie rozstaję i żadnej przed nimi nie mam tajemnicy.

— Więc mogę zacząć — mówił dalej Jerzy, oglądając się za krzesłem.

Otton zrozumiał wzrok Jerzego i machinalnie wskazał na fotel. Zdawało mu się, że w twarzy nieznajomego gościa ujrzał złośliwy uśmich truymfu. Zmarszczył czoło i z pańska rzucił się na stojące obok stołu krzesło. Zdawało się Jerzemu, że w tem zachowaniu się negocyanta jest coś szyderczego.

— Jestem Jerzy... lekarz z Dąbczyna.

— I przyjechałeś pan, aby w razie potrzeby opatrzyć rany hrabiego Leona... — rzekł Otton.

Spojrzeli sobie obaj w oczy i obaj jednocześnie odsunęli krzesła od siebie. Jakaś dziwna, nieodgadniona antypatya powstała w tej chwili w ich sercach.

— Jeżeli pan tak rozmowę zaczynasz — rzekł Jerzy, siląc się na wyraz obojętności — to ona może się urwać przed czasem.

— Nie wiem, mój panie, czy wiele zyskam na czasie — odparł syn negocyanta — ale słucham pana.

— Cierpkie słowa okazują, jakbyś miał jaką urazę do mnie — zapytał Jerzy, a twarz jego czerwieniła się z gniewu.

— Nie znam pana!

— Obecność tych panów i ich ranga jest mi rękojmią, że rozmowa nasza toczyć się będzie w karbach przyzwoitości.

— Słucham pana!

— Pan miałeś spór z panem von der Mark.

Otton ruszył głową.

— Przy tym sporze wymienione zostało imię pwnej damy.

— Pan powtarzasz rzeczy stare — odparł młodzieniec z niecierpliwością.

— Dopóki te rzeczy jeszcze nie załatwiły się...

Twarz młodzieńca oblała się rumieńcem. Był to pierwszy policzek wstydu, pierwszy głos nieubłaganej opinii!

— Któż mi dzisiaj odebrał sposobność załatwienia tej sprawy na drodze honoru? — zawołał żywo młodzieniec.

— Myśl pan, że to przypadek, czysty przypadek.

— Przypadek? O nie, mój panie, to nie był przypadek. Bo przypadek nie przyjeżdża z Dąbczyna, nie idzie wprost do kasyna i nie pyta się wprost o pana von der Mark, nie proponuje mu wprost gry hazardownej! A przegrawszy naumyślnie tysiąc talarów, nie patrzy się krzywo na pana von der Mark, nie zarzuca mu szalbierstwa. Przy-

padek nie postępuje sobie tak systematycznie, nie przywozi z sobą lekarza; słowem, nie był to wcale przypadek. Było to wymierzone przeciw mnie, aby mnie poniżyć, aby okazać, żem niegodzien obronić cudzej sławy, bo nie mam tarczy herbowej, bom syn prostego negocyanta.

Z za chmury dymu ozwały się dwa głosy.

— Który doskonale strzela i przed każdym grafem się ostoi!

Jerzy spojrzał na kanapę, ale prócz gęstych kłębów dymu nic nie widział.

— Nie znam powodu — rzekł Jerzy po chwili — dlaczego pan w tym przypadku raczej zdarzeniu, widzisz dla siebie jakieś poniżenie. Jeżeli chodziło panu o honor damy, to rzecz obojętna, kto kopią skruszył.

— Nie, mój panie, — odparł syn negocyanta — są dobre, szlachetne uczynki, które radzi sami spełniamy. Jest to wrodzona nam próżność, od której żaden człowiek wolnym nie jest.

— Ale ta próżność powinna nam w takim razie przynieść niejaki procent — rzekł Jerzy z uśmiechem ironii.

— Nikt nie ma prawa zaglądać do moich rachunków — odparł Otton w widocznym gniewie.

— Nie przychodzę tutaj — rzekł Jerzy, powstrzymując się w gniewie — abym żądał od pana rachunku, czy stawanie w obronie tak znakomitej damy przyniosłoby panu korzyść jaką, czy żadną. Do tego nie mam bynajmniej upoważnienia. Ale przychodzę z tem, do czego mam upoważnienie.

— Słucham pana — zawołał Otton i przygryzł usta. — Ale najprzód powiedz mi pan, od kogo masz pan kredytywe? Zapewne od hrabiego Leona?

— Bynajmniej.

— No, to już dobrze, bo inaczej nie mógłbym jej akceptować.

— Moje upoważnienie pochodzi wprost od damy.

— Od panny Janiny! — zawołał młodzieniec i zerwał się na równe nogi.

— Tak jest, od niej samej — odparł Jerzy, patrząc z pod oka na chmurę dymu przed kanapą. — Mówiła, żem nie godzien?..

Jerzy spojrzał bystro na syna negocyanta. Jakoś za tragicznie wyglądał mu w tej chwili, aby całą tę sprawę wziąć za przemijającą awanturę. Jego twarz przybladła, duże, niebieskie oko drżało, jakby przemocą ukrywało łzę, cisnącą się z głębi duszy. Jerzy uczuł, że jego serce doznaje jakiegoś bólu na myśl, iż ów stojący przed nim młodzieniec jest jego rywalem.

— Tak jest — mówił z cierpką determinacyą — od niej samej mam upoważnienie powiedzieć panu, że ona sobie wcale nie życzy tego, aby jej imię wmieszane było do awantury pojedynkowej.

— Dlatego przysłała swego narzeczonego — mówił z ironią syn negocyanta.

— Twarz Jerzego oblała się rumieńcem. Usta jego zadrżały, ale słowo zamarło i nie wyszło przez nie.

— Przysłała swego narzeczonego — ciągnął dalej z ironią młodzieniec — aby udaremnił pojedynek, któryby mi dał sposobność okazania pannie Janinie i całemu światu, że mam taką samą krew, jak i każdy szlachcic... żem jej godzien, jak każdy inny!..

— Milcz pan! — krzyknął Jerzy, któremu nagle przed oczyma wszystko chodzić poczęło.

Chmura dymu przed kanapą rozdzieliła się na dwa obłoki, z po za których wyszły dwa mundury, dwie pary epoletów, i dwie pary wąsów. Wszystko to stanęło między Jerzym i Ottonem, a dwa głosy ozwały się jednocześnie:

— Hola! już ani słowa. Już więcej nie macie z sobą nic do czynienia, tylko z nami!

— Jestem gotów w każdym czasie — rzekł Jerzy, a twarz pałała mu ogniem.

— Im prędzej, tem lepiej — odparł młodzieniec, a jego błękitne oczy zaszły łzami.

— Oto są nasze bilety — ozwali się dwaj wojskowi do Jerzego. — Pośrednicy pańscy mogą się z nami rozmówić.

Jerzy chwycił za dwie karty i wybiegł na ulicę.

Syn negocyanta rzucił się na szyję przyjaciołom, obcałował ich wąsy i zawołał w radosnem uniesieniu:

— Jestem szczęśliwy, moi przyjaciele! Będę się strzelał, świat dowie się o tem, że nie jestem tchórzem, a ona się dowie, że ją kocham!

— Jeśli cię nie zakłuje ten Polak! — mruknął jeden.

— Głupi interes — mruknął drugi — wleźliśmy w błoto!

Ale uszczęśliwiony młodzieniec nie słyszał ich mowy — jednym zamachem zbiegł na dół i wpadł do kantoru.

— Ojcze! — krzyknął, rzucając mu się na szyję — będę się strzelał jutro i okażę przed całym światem, że we mnie nie ma krwi „drobnego negocyanta“ i że ją ko...

Stary Warner przyciskał w tej chwili swego jedynaka do piersi, nie dając mu ani słowa więcej powiedzieć.

Gdy Jerzy powrócił do hotelu, w którym obaj z hrabią Leonem mieszkali, zastał go siedzącego spokojnie na kanapie i nucącego sobie pod nosem jakąś aryę. Hrabia zdawał się znudzony, a ujrzawszy wchodzącego Jerzego, rzekł z niecierpliwością:

— No cóż, szanowny panie, jedziemy?

— Nie dzisiaj jeszcze — odpowiedział Jerzy.

Odpowiedź Jerzego miała tak dziwny akcent, że hrabia badawczo spojrzał na niego. Na twarzy Jerzego malowało się jakieś dziwne, nieodgadnione szczęście. Jego oczy uśmiechały się i tak szybko biegały, jak jaskółki przed burzą.

Usiadł w drugim rogu kanapy i z wyrazem tryumfu spojrzał na bladą, zimną twarz hrabiego. I w samej rzeczy miał z czego tryumfować nasz bohater, według najlepszego swego przekonania. W zagadkowym swoim towarzyszu, pomimo wszelkiej ku niemu sympatyi, widział zawsze w końcu swego nieprzyjaciela, który mu stanął na drodze szczęścia.

W takim stanie rzeczy zdarzenie z synem negocyanta było dla Jerzego bardzo korzystne.

Strzelając się z drugim uczestnikiem udaremnionego pojedynku, stanął na równi z hrabią Leonem. Zrównał się więc ze swoim przeciwnikiem i okazał się godnym miejsca, jakie już miał w sercu panny Janiny.

Więc z uczuciem tryumfu spojrzał na swego towarzysza i uśmiechał się.

— Jeśli się nie mylę — ozwał się hrabia Leon i tak przenikliwym wzrokiem spojrzał w twarz Jerzego, że ten był pewny, iż już wszystko odgadł — jeśli się nie mylę, spłatałeś pan znowu jakiegoś figla.

— Nie, figla nie spłatałem... był to prosty przypadek.

— Jaki przypadek?

— Że się strzelać będę.

Hrabia Leon rzucił się na kanapie.

— Obawiałem się tego — odparł cierpko.

— Ale to prosty przypadek, nic ułożonego naprzód... taki sam przypadek, jaki pan miałeś z panem von der Mark — odparł Jerzy z ironią w spojrzeniu.

Hrabia spojrzał na niego i rzekł z cierpkim uśmiechem:

— Kto się wyższej myśli poświęcił, kto pragnie służyć ludzkości, ten nie powinien tak życiem igrać w rzeczach podrzędnych.

Jerzy uczuł, że mu twarz oblała się rumieńcem. Ale wnet serce odniosło zwycięstwo.

Wyprostował się i rzekł z dumą:

— To jest tylko dowodem, że zdolny jestem do każdego poświęcenia się, do każdej walki z tem, co mi na drodze staje.

— Ale nie z marami, które do niczego nie prowadzą! — odparł hrabia z widoczną niecierpliwością.

Jerzy wlepił oczy w bladą, zimną twarz hrabiego, ale na niej prócz jakiejś kapryśnej, pańskiej niecierpliwości, żadnego innego nie dostrzegł wyrazu.

— Myślałem, że pana od nierozważnego kroku ochronię — mówił dalej hrabia.

— Jakto? — wtrącił Jerzy — więc ów prosty wypadek w kasynie szlacheckiem był naprzód obmyślony?..

— Tego nie mówiłem — przerwał szybko hrabia — tylko myślałem, że mój wypadek ochroni pana od wszelkich podobnych...

Jerzy roześmiał się, chociaż w tym śmiechu było więcej bolesnego uczucia, niż wesołości.

— Więc pan chciałeś mi jak żakowi wyprawić odstraszający widok, jak człowiek z roztrzaskaną nogą po pojedynku wygląda... a tymczasem zbudziłeś tylko pragnienie krwi.

— Widzę, że pan musisz być swoim własnym lekarzem — odparł zimno hrabia.

— Są choroby, które tylko samemu leczyć można — odrzekł mu na to również zimno Jerzy.

Hrabia Leon przeszedł się kilka razy po pokoju, spoglądając z pod oka na Jerzego. Jerzy jak najspokojniej zapalał sobie cygaro.

Podobało się to widać hrrabiemu, gdyż zatrzymał się przed kanapą i począł się mu z uwagą przypatrywać.

Po chwili rzekł:

— Dotąd myślałem, że potrzeba życiem pogardzać, aby je stawiać na kartę. Teraz widzę, że można to uczynić w chwili, gdy się nam ono najpiękniej uśmiecha!

— Ta między nami zachodzi różnica — odparł Jerzy z bolesnym uśmiechem.

— Temu nie przeczę... może się kiedy zbliżymy do siebie... tak na pół drogi przynajmniej — rzekł hrabia i pośpieszył do stolika, na którym był przyrząd do pisania.

Napisawszy kilka wierszy, zadzwonił na służącego hotelu.

— Ten list odniesiesz do księcia Thurn — rzekł do niego — a z tym udasz się do pana R., od którego kupiłem dwa konie. Oraz proszę o rachunek, gdyż zaraz wyjeżdżamy.

Jerzy czekał właśnie niecierpliwie odejścia służącego, aby hra-

biego zapytać, co znaczą tak dziwne rozporządzenia, gdy tenże rzekł do niego:

— Muszę panu oczywiście sekundować. Znasz pan sekundantów swego przeciwnika?

Jerzy oddał mu karty.

— A wiesz pan, z kim się strzelam? — zapytał hrabiego.

— A jużci z młodym Warnerem! — odparł tenże z uśmiechem.

— Pan zgłębiasz wszystkie tajemnice.

— O mnie mniejsza... idzie o to, żeby ktoś inny wypadku tego nie zgłębił, a niesmacznem byłoby mi to pensylwańskie więzienie. Wypadek pana von der Mark narobił tutaj hałasu. Jakieś dziwne figury snują się od rana wkoło hotelu. Dlatego dobrze będzie, jeżeli zaraz stąd wyjedziemy. Konie pójdą z moim służącym do Dąbczyna, a my tymczasem z innego hotelu wyjedziemy innemi, które właśnie kupiłem. Czysta krew angielska, milę biegną piętnaście minut. A teraz idę do sekundantów; tymczasem możesz wygotować na przypadek dokument samobójstwa i coś na kształt testamentu.

Rzekłszy to hrabia Leon, uśmiechnął się z największą obojętnością,zapalił świeże cygaro, a nucąc aryę z „Hugonotów“ wyszedł z najlepszą w świecie fantazyą, jakby szedł dla swego towarzysza po kartę na kolej żelazną.

Jerzy zbliżył się do stolika i wziął za pióro, aby napisać ów fatalny dokument samobójstwa. Ale ręka mu zadrżała, pióro wypadło na ziemię. Oparł się o poręcz krzesła, podparł ręką głowę i zamyślił się.

Na wieży, tam gdzieś daleko, wybiła dziewiąta godzina. Wrzawa na ulicy uciszała się coraz bardziej. Tylko jakiś głuchy, zmącony szum, niby echo walczących pod gwiazdami wichrów, dolatywał do jego uszu.

Wreszcie schylił się po pióro i zaczął pisać.

W pokoju było cicho i smutno. Tylko pióro skrzypiało przeraźliwie i bryzgało po białym papierze, a piszącemu zdawało się, że ono ustraja jego słowa w największe arabeski...

Około dziesiątej otworzyły się drzwi. Hrabia Leon wrócił ze swego poselstwa.

— A cóż tam z dokumentem samobójstwa i testamentem? — zapytał, biorąc ze stolika świeże cygaro.

Jerzy w milczeniu okazał mu dwa złożone popiery.

— Jakoś zbyt krótko zbyłeś pan ciekawość świata! — rzekł z uśmiechem hrabia Leon.

— Spodziewam się, że i tego będzie za wiele — odparł Jerzy dosyć obojętnie.

— Ach! wy dusze poetyczne, zakrawacie strasznie na Faryzeuszów. Dla świata skromność mnicha, a wewnątrz duma najdumniejszych patrycyuszów!

— Tak jest, bo myśmy dumni z tego, czem według naszej boskiej iskry być powinniśmy; a skromni, żeśmy tak mało zrobili!

— Przy tej skromności naszej, myślimy jednak sobie, jak gorzko ktoś za nami płakać będzie, gdy nam życia nie stanie!.. — poderwał hrabia z ironicznym uśmiechem.

— Tę wiarę wolno przecież wziąć z sobą każdemu nieboszczykowi.

— A wolno, wolno... ale nie wolno mu wracać do życia, bo przekonałby się, że nie warto z taką wiarą umierać... Jest to najrozsądniejsza myśl w urządzeniu społeczeństwa, że umarłym nie wolno wracać do swoich przyjaciół, żon, kochanek... Wyjeżdżajmy... o piątej godzinie w lasku królewskim...

Stary Warner wyszedł przez schody kręcone na pierwsze piętro i prosto udał się do swego pokoju.

Myśli jego były dzisiaj jakoś nie w najlepszym porządku. Mianowicie myśl pojedynku strasznie dawała mu się we znaki. Jakoś nie przystawała ona do jego mózgu i wylatywała z niego jak groch z dziurawego worka za każdem ruszeniem głowy. Wziął szlafmycę, naciągnął na same uszy, ale i to nie wiele pomogło. Wreszcie położył się do łóżka, włożył głowę pod poduszkę i nakrył się pierzyną. Ale myśl nieposłuszna wylazała przez szlafmycę, poduszkę i pierzynę, i latała po nim, jak czarna szczypawka.

Zerwał się z łóżka, zrzucił poduszkę, pierzynę i szlafmycę na ziemię i przestraszony zaczął rozmyślać.

— Czego się niepokoję — mówił do siebie — wszak tysiące pojedynkują się, a nikt nie ginie!

— Przecież to jeszcze nic pewnego. Otton dopiero mi coś napomknął...

Wtem ujrzał na stole jakiś papier opieczętowany. Rozerwał pieczęć — było to tkliwe pożegnanie syna, gdyby zginął w pojedynku.

Negocyant zadrżał cały — kolana ugięły się pod nim. Wybiegł z pokoju, biegł po schodach i karytarzu. Gdzież Otton? A tu noc, północ... wszędzie głucho, wszędzie pusto!...

— Mam słabe nerwy, jabym się nigdy nie pojedynkował... to głupstwo... hm, głupstwo i kaprys... Nic głupszego szlachta nie mogła wymyśleć, jak te pojedynki, gdzie kogoś zabić można... Jabym się nie strzelał, nie... ale tak na pałasze... no, to jeszcze pół biedy... Otton musi na pałasze się bić... a nie strzelać!..

Tak mówiąc do siebie nieszczęśliwy negocyant, gwałtownie zadzwonił na służącego i czemprędzej się ubrał. Jak szalony wybiegł na ulicę. Ottona jeszcze nie było.

Na niebie wschodziła jutrzenka i różowem światłem malowała wązkie, wysokie kamienice.

Negocyant uderzył piersią o jakąś długą, porządnie ubraną figurę.

— Linku, Linku kochany, niebo mi cię zsyła! Linku! Otton się chce strzelać!

— To głupstwo! — mruknął agent.

— I ja sam tak myślę, ale cóż robić... gdzie go szukać, Linku? Biegnij do policyi.

— Właśnie stamtąd idę — odrzekł agent — niegrzecznie się ze mną obeszli.

Rzekłszy to, z taką zatoczył się energią, że swego patrona z nóg zwalił, a sam dalej ukośną linią podążył.

. . . .

Z ciemnej, porannej chmury wynurzyło się złote, majowe słońce. Ku laskowi królewskiemu śpieszyło kilku żandarmów, za nimi toczyła się stara dorożka.

Wtem padły dwa strzały — z pomiędzy drzew wzniosły się dwa obłoki białego dymu.

Żandarmi puścili koniom wodze, dorożka ruszyła raźniej, a za kilko minut stanęli wszyscy na miejscu.

Na otwartej polance, z pistoletem w ziemię spuszczonym, stał Otton, martwy, jak posąg. Kilkanaście kroków przed nim, gdzie stał jego przeciwnik, była kałuża krwi. Więcej nie było nikogo, tylko daleko między krzakami przedzierały się dwie pary epoletów.

— Bierzcie go, to mój syn, bierzcie i wiążcie! — krzyknął stary negocyant i upadł jak nieżywy na ziemię.

Żandarm w imieniu ustawy przytrzymał przestępcę, drugi obiegł cały lasek dokoła, ale nigdzie nie było ani żywego ducha.

Władza miejscowa porozsyłała agentów do wszystkich części miasta, ale żaden z nich nie przyniósł pożądanej wieści. Jeden tylko przy-

niósł raport, że właśnie o tej godzinie odbywał się kurs zakładowy księcia Thurn z jakimś polskim grafem na drodze, prowadzącej do Dąbczyna.

A po całem mieście gruchnęła wieść, że syn negocyanta, chcąc się ocalić od pojedynku z jakąś wysoko położoną osobą, sam miejsce pojedynku władzy denuncyował.



OBŁOKI.

Po niezmierzonej niebios przestrzeni
Płyną obłoki, jak srebrne puchy,
Jakby przeczyste, anielskie duchy,
W wieńcu złocistych płyną promieni.

To znów podobne do groźnych cieni,
Jak średniowieczni suną rycerze,
Zbrojni w olbrzymie miecze, pancerze, —
Złota ich zbroja cudnie się mieni.

W blaskach złocistych promieni słońca,
W miecze prastare i kopje zbrojne,
Dumne rycerstwo idzie na wojnę.

Hufce rycerzy płyną bez końca,
Aż się rozwieją w mgle oddalenia,
Jak nieuchwytne senne marzenia.

Stanisław Rumszewicz.





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA
Pana naszego Jezusa Chrystusa.

(Ciąg dalszy)

W bolesnem pasowaniu się Jezusa na górze Oliwnej, ów pot, który „jako krople krwi zbiegał na ziemię“, jest punktem kulminacyjnym. Jest rzeczą stwierdzoną, że nadzwyczajne wstrząśnienia wywołują krwawe pocenie się: pod zbyt wielkim naporem krew wybija się, tryska, razem z potem występuje przez skórę. W tym krwawym pocie Jezusa widzimy wymowny znak Jego strasznych cierpień, ale też widzimy równocześnie i onę moc płynącą z „posilenia“ wskutek coraz żarliwszej, coraz dłuższej modlitwy; widzimy i ostateczne zwycięstwo, kiedy kiedy Jezus mdlejący, wszystko wzdryganie się natury, wszystkie trwogi składa u stóp Swego Ojca. Zrezygnowany, ufny w pomoc Ojca mówi dalej: „Oto przybliżyła się godzina, a Syn Człowieczy będzie wydan w ręce grzeszników“. Na te słowa uczniowie choć snem znużeni, wytrzeźwieli zupełnie, i zapewne mimowoli spojrzeli w stronę wnijścia do Ogrójca. A Jezus dodaje: „Wstańcie, pójdźmy: oto się przybliżył, który Mię wyda“.

Nie widać jeszcze tych „grzeszników“, ale na znak, że go nie zaskoczą nieprzygotowanym, że pójdzie na śmierć iż Sam chce, Jezus wychodzi naprzeciwko nich, za Nim trzej uczniowie, do których niebawem przyłącza się reszta: On, Mistrz, idzie z majestatycznym

spokojem i powagą, towarzysze Jego, jedenastu, jakby się ociągając, w niepokoju i trwodze.

Kiedy Judasz około 8 godziny wieczorem opuścił wieczernik, niewątpliwie już poczynił był przygotowania i układy do spełnienia potwornej zbrodni. Wiedział z doświadczenia, że Jezus późną nocą wstępował z uczniami do ogrodu Getsemani i przebywał tam na rozmowie z uczniami i na modlitwie z Ojcem. Miał więc pewność, że i dziś zastanie tam Jezusa. Wybiła wreszcie godzina, którą uważał za najodpowiedniejszą do tego, aby udał się zamach bez wrzawy i rozgłosu. Czeka więc aż do samej północy, gdy się już ogromne miasto, napełnione tylu pielgrzymami, uśpiło. Apostoł-zdrajca rusza na czele różnorodnej i różnobarwnej czeredy „wielkiej rzeszy", uzbrojonej w miecze i kije, czeladzi i pachołków od najwyższych kapłanów i doktorów i starszych. Udział w tej wyprawie wzięli i „urzędnicy kościelni", to jest straż kościelna ze swymi dowódcami. Do tych wszystkich dołączają się i najwyżsi kapłani i osoby z wyższych stanów bez względu na swe stanowisko, na swą godność. Uzupełnijmy sobie ten obraz nocnego zamachu z dodatkiem „latarni i pochodni" pomimo, że była noc księżycowa: nie zaniedbano niczego, aby owo przedsięwzięcie się udało.

Jednakże ten tłum nabrał znaczenia zbrojnej wyprawy dopiero przez to, że starosta Piłat na prośby starszych żydowskich pozwolił im wziąć pewną liczbę żołnierzy Rzymskich, stojących załogą w twierdzy, zwanej Antonia, przytykającej tuż do kościoła.

Wyprawa posuwa się cichuteńko, ostrożnie, jak przy nocnym napadzie, wreszcie dochodzi do mostu potoku Cedron i oto już jest u wejścia do Ogrojca. Tu Jezus czeka z uczniami Swymi jakby na ich przyjęcie. Żołnierze rzymscy, którym teraz przypadło najgłówniejsze zadanie, nie znali oczywiście Jezusa. Chodziło więc o to, by poznać Go odrazu i nie dopuścić jakiej obrony lub ucieczki wśród ciemności nocnej. Judasz nie sprzeniewierzył się swemu zobowiązaniu, nie zawiódł zaufania. Żeby ci, co mieli pojmać Jezusa, ani na chwilę nie mieli wątpliwości co do Jego osoby, umówił się przy wejściu do ogrodu, że ten będzie znak: „Któregokolwiek pocałuję, ten ci jest, imajcie Go". Był to znak dowodzący najwyższej przewrotności serca, najczarniejszej zdrady Mistrza. Judasz zwątpił był, jak wiemy, o mocy, o potędze Mistrza. To jedno tylko majaczy mu się przed oczyma, że Jezusa czeka zguba, że nie zdolny jest sam się obronić, a więc nie jest Bogiem, ani wyższą jakąś istotą, że jest prostym człowiekiem. I w ten sposób, wobec Tego, którego się jednak lęka mimowoli, odgrywa rolę obłudnika, a tłómacząc sobie opatrznie łaskawość Jezusa, jest przekonany, że będzie umiał do samego ostatka udawaniem przywiązania, czci i miłości zwodzić swo-

jego Mistrza. Było we zwyczaju, że uczniowie na znak uszanowania całowali Mistrza po dłuższem lub krótszem rozłączeniu; więc Judasz i w tem ostatniem spotkaniu ośmiela się skorzystać z tego zwyczaju. Przypuszcza, że Mistrz napewno pozwoli mu się zbliżyć do siebie aż do pocałowania oblicza. Nie zawiódł się. Judasz zaraz przy wejściu do ogrodu dostrzegł Jezusa w gronie uczniów, jakby umyślnie nań czekającego. Na ten widok zadrżał, jednak nie traci przytomności, idzie wprost do Jezusa i pozdrawia go słowami: „Bądź pozdrowion Rabbi!" I całuje raz i drugi jakby dla okazania najczulszej miłości. Jezus nie wzgardza tem pozdrowieniem i tym pocałunkiem nieszczęśliwego ucznia. Co więcej zaszczyca go przemówieniem, głosem wzruszonym, tkliwym, pomnąc na to, że z Judaszem obchodził się na równi z innymi uczniami serdecznie, odzywa się doń: „Przyjacielu, po coś przyszedł?" „Pocałowaniem zdradzasz Syna człowieczego?" Potem wystąpił z otoczenia uczniów i jako ten, który nie myśli się ukrywać, rzuciwszy okiem na rotę żołnierzy, pyta się z majestatycznym spokojem: „Kogo szukacie?" I słychać odpowiedź krótką, po wojskowemu: „Jezusa Nazareńskiego". Jezus daje im się poznać: „Jam jest". W tej chwili cofają się w tył, padają na ziemię wszyscy bez wyjątku, bo wszyscy uczuli potęgę słowa Mesyaszowego. To jedno słowo: „Jam jest" jak grom uderza we wszystkich, obala na ziemię; Jezus może iść na śmierć tylko dlatego, iż Sam chce. I dla uczniów to okazanie majestatu Bożego ma wielkie znaczenie; będzie to podporą ich wiary i ufności w następnych godzinach.



ZŁOTE MYŚLI.

W każdej dłoni moc olbrzyma,
Gdy się złączą wszyscy razem,
Tych rąk, które jedność trzyma,
Nie rozłączy nikt żelazem.

Chcesz być swego narodu chlubą i ozdobą?
Nie chwal się, ale pracuj sumiennie nad sobą.

Z roku 1863.

Zielone Świątki weszły z pogodą słońca, bez chmur, z odgłosem dzwonów kościelnych, wołających na nabożeństwo, i zielenią umajonych wokoło domów...

Smutne święto wesela.

Na nabożeństwo do obu kościołów, tak Dominikanów, jak św. Jana, śpieszą mieszkańcy tłumnie.

Będzie kwesta na powstańców... wieść szepce od ucha do ucha.

— Trzeba nieść datki na potrzebujących wsparcia, na broń dla stojących pod sztandarem wolności!..

— Kto może, ile kto może, niech rzuci na tackę, bo tym w lasach trzeba pomocy.

Tak szepcą cicho wokoło, i idą do kościołów.

Smutne Wilno, które patrzyło przed dwoma dniami na śmierć kapłana, rozstrzelanego na rynku, dziś święci dzień wesela i stroi się w blaski pogody majowej, pełnej woni i kwiecia i jasności słońca.

W kościele pełno...

Panna Michalina Platerówna w kościele św. Jana zbiera na tacę ofiary liczne, u Dominikanów księżna Ogińska cieszy się obfitym plonem kwesty.

— Dajże i ty, Jasiu, — szepce uboga mieszczanka z Łukiszek. — Tam w obozie jest twój brat, dwóch stryjków, jest paniczów delikatnych sporo, a na wojnę trzeba, o, trzeba grosza...

Jaś rzuca ofiarę. Miał uskładane w skarbonce, bo chciał kupić książkę do modlenia, ale teraz dał, i zdaje mu się, że potrafi pomodlić się z pamięci, bez książki.

— Rzućże dziecino — szepce biedna, w żałobie ciężkiej, wdowa po powstańcu. — Sprzedałam zegarek, pamiątkę po ojcu, a damy tu, niech i te grosze pomogą obrońcom Ojczyzny...

I wątłe, blade dziecię rzuca garstkę grosza, a dźwięk upadających na tacę pieniędzy łączy się z harmonijnym tonem, z wspaniałą pieśnią kapłana, śpiewającego: „Sanctus! Sanctus- Sanctus!"...

Wilno, które jeszcze łez nie otarło, modli się wraz z kapłanem i powtarza w smutnem błaganiu: „Święty! Święty! Święty!“

Idzie młoda, piękna kobieta, o wyrazie twarzy, jak ból smutnym i rzuca na ofiarę obrączkę ślubną... Mąż walczy, cierpi, krew daje w obronie praw narodu... a jej pierścionek kładzie się cichą modlitwą na tacy ofiar...

Dzwonek brzmi... Organy cichną...

Jeszcze gdzieś od sklepień odbija się echo ostatniego tonu pieśni, jeszcze dźwięk dzwonka woła do pokory, jeszcze z szeptem ust drżących płynie raz po raz powtarzane słowo: Święty! Święty! Święty!..

Cisza!...

Lud wszystek czołem przylgnął do posadzki kościelnej, ręce wznoszą się błagalnie, dzwonek wzywa: korzcie się! Bóg z wami!

Wtem zabrzęczały szable, — zadzwoniły bagnety...

— Jezus, Marya!.. — jęknął lud... tu? nawet w świątyni, w takiej chwili oni są?

Są!

Wchodzi Murawiew z żandarmami, kozakami, idzie przez nawę kościelną, trąca klączący lud, depce po opuszczonych na posadzkę dłoniach....

Organy grzmią dalej pieśnią, kapłan cicho odmawia ofiarę za zmarłych, a Murawiew z otoczeniem idzie do stolika kwestującej Platerówny i każe sołdatom zabierać pieniądze...

— Jeśli składać dalej będziecie, każę was aresztować.

„Bicz gniewu cesarskiego“ każe odbijać skarbonki kościelne, zabierać wszystko, a wyszedłszy z kościoła św. Jana, idzie do Dominikanów, gdzie ten sam akt zostaje spełniony.

I wyszli ze zdobyczą.

A lud modli się w płaczu, organy grzmią żałosną skargą, a słońce wzbija się wyżej i dzień Zielonych Świąt czyni pełnym ciepła, światła i piękna...

Lecz Wilno łez nie otarło...

Na drugi dzień Świąt, w bitwie między Łobonarami i Święczanką, nad rzeką Łukną, pułkownik Półtoracki, Porucznik Kazurkin i generał major hr. Szuwałow napadli na oddział powstańczy pod dowództwem Albertyńskiego i krwawą bitwą znaczyli długą drogę wśród cieni lasów i traw zieleni...

Niestety!.. między zabitymi był mąż młodej kobiety, która w ofierze na tacę rzuciła wwileńskim kościele swą obrączkę ślubną...

Wilno nie miało Zielonych Świąt wesołych, a na zbieranie świeżej składki brakło już zapasów...

*

* *

Murawiew w najbliższym numerze „Kuryera Wileńskiego“ ogłosił, iż w kościołach Wilna w Zielone Święta panie zbierały datki „na rodziny powieszonych przez powstańców wiernych cesarskich poddanych“.



ZŁOTE MYŚLI.

Jak od pokrzywy zwykle się ucieka,
Tak stronią ludzie od złego człowieka.

Kto nie kocha rodziców,
Nie szanuje ich szczerze,
Ten na drogę żywota
Wieczny wyrzut bierze.

O, miłuj Boga i służ Mu, bracie,
Wierz w światłość złotą, nie w chmurną noc,
A będzie błogo w najlichszej chacie,
Bo z Boga idzie szczęście i moc! *Or. Ot.*

Kto garstką ziemię nosi — góry się doczeka,
Z kropli za kroplą z czasem uzbiera się rzeka.

Wychodźcy polscy na Syberyi.

Nie mówiono dawniej nigdy Syberya. Mówiono poprostu Sybir. A na dźwięk tego wyrazu krew ścinała się w żyłach. Dzieci przytulone do starszych, z zapartym oddechem słuchały tego, co opowiadano o „Sybirze“. A opowiadano bardzo wiele. Nie było prawie rodziny w Polsce, która nie miałaby tam kogoś. Kiedy więc na dworze zawył wicher, śnieżyca zasypała drogi, a od mrozu drzewa trzaskały w ogrodzie, mimowoli myśl biegała ku tym, co z daleka od ojczyzny, w katordze lub na osiedleniu, ciężki pędzili żywot. A czasem poczta przyniosła list „stamtąd“. Odczytywano takie listy powielekroć. Komunikowano je przyjaciołom i znajomym i w zamian otrzymywano od nich podobne listy. W ten sposób jedni dowiadywali się o drugich.

Potem zaczął się powrót wygnańców. „Sybirak“ znaczył tyle, co człowiek blizki i drogi. Była to legitymacya, która otwierała każdy dom polski. Wielu sybiraków miało ślady łańcuchów na rękach. Sine, wklęsłe obrączki... Przyjmowano ich radośnie. Poszukiwano dla nich pracy, starano się im odpłacić za cierpienia gorącem uczuciem, tajono przed nimi złe, pocieszano ich lepszymi horoskopami.

Tu i owdzie zdarzały się wyjątki, bo te są zawsze i wszędzie, na ogół jednak byli to ludzie czyści i dostojni. Opowiadali długie i wstrząsające historye, od chwili, kiedy kibitka, zadzwoniła w nocy pod ich oknami, aż do przybycia na miejsce. Przed oczyma stawał wówczas „Pochód“ Grottgera. On jeden odczuł i zrozumiał tę „drogę polską“, jakiej nie znał i nie pozna żaden inny naród.

Bo czasy się zmieniły...

Zmieniły się czasy — i nawet „Sybir“ przestał już być „Sybirem“.

Miejsce jego zajęła Syberya, a o niej mówi się już dzisiaj bez grozy i lęku. Poprostu pogodzono się z jej istnieniem, z jej warunkami klimatycznymi, z jej oddaleniem.

Życie nowoczesne zbliżyło zresztą ten pusty, słabo zaludniony kraj do Europy. A chociaż Syberya nie przestała być jeszcze miejscem

deportacyi, chciaż na drogach jej dzwonią do dzisiejszego dnia kajdany przestępców politycznych, to jednak oddawna już stoimy wobec faktu dobrowolnego wychodźtwa na Sybir. Zaczęło się to w Polsce od emigracyi „po złote runo“. Inteligencya zawodowa, zwłaszcza świat techniczno-przemysłowy szukał tam chleba. Inżynierowie polscy budowali kolej transsyberyjską, kupcy polscy zdobywali rynek handlowy, przemysłowcy zakładali fabryki, urzędnicy obejmowali posady. Zdarzało się, iż niektórzy robili majątki — to pociągało innych.



Wychodźcy polscy na Syberyi.

W ten sposób tworzyło się powoli nowe osadnictwo polskie na Syberyi i dzisiaj niema tam ani jednego bodaj miasta, ani jednego większego środowiska życia, w którem nie byłoby kolonii polskiej. Kolonie te, złożone z ludzi wykształconych, utrzymują związek z krajem, grupują się dokoła kościołów rzymsko-katolickich, gdzie są te kościoły, myślą i stosunkami związane są z krajem, aczkolwiek i wśród nich zdarzają się wypadki wynarodowienia, a jeśli nie wynarodowienia — to zaniku zmysłu polskości, tego specyficznego zmysłu, który nam, tutaj, daje specyficzne odczucie sprawy polskiej. Z Polakami, którzy dłużej mieszkają w Rosyi, *porozumieć* się możemy zawsze, ale często nie możemy się już z nimi *zrozumieć*. Na ten fakt obie strony za małą zwracały dotychczas uwagę.

Nadszedł jednak czas, kiedy trzeba to rozważyć.

Naród nasz jest w położeniu takiem, że nie wolno mu stracić ani jednej myśli polskiej, ani jednego atomu uczucia polskiego. A na sumie tych uczuć i sile ich napięcia zależy nam stokroć więcej, niż na sumie oszczędzonych przez Polaków w Rosyi pieniędzy, choćby nawet pieniądze te miały być przywiezione do kraju.

I bodaj, że młodsze pokolenie inteligencyi polskiej już to rozumie i mniej jest chętne do wyjazdu na wschód. Ale — jeżeli z tej strony możemy się spodziewać z czasem polepszenia bilansu narodowego, to poważne niebezpieczeństwo przychodzi skądinąd.

Oto stoimy wobec nowej fali wychodźtwa polskiego na Sybir. Tym razem jest to wychodźtwo ludu polskiego — do niedawna tylko rzemieślników i robotników, szukających chleba, obecnie — już także i ludu wiejskiego.

Wychodźtwo to popiera rząd, w którego interesie leży zaludnienie kraju i podniesienie kultury rolnej na ogromnych, nie wyzyskanych dotąd należycie, lub zupełnym odłogiem leżących obszarach. Rząd kolonizuje Syberyę. Daje ziemię, przewozi swoim kosztem i obiecuje... złote góry.

Włościanin bezrolny zawsze w te „złote góry“ wierzy. Kiedy mu je obiecywał agent emigracyjny — z łatwością wpadał wjego sieci i szedł za ocean. I obecnie więc znaleźli się tacy, którzy uwierzyli, że Syberya miodem i mlekiem dla nich popłynie. Nie wszyscy z nich są rolnikami zawodowymi, ale, jak nas informowano ze strony kompetentnej, przeważają jeszcze po dawnemu rzemieślnicy i robotnicy, którzy na tej drodze pragną się dobić własnego gospodarstwa.

Czeka ich jednak bardzo gorzkie rozczarowanie. Posłuchajmy tylko, co w tej sprawie mówi p. A. Borowiński w „Wychodźcy polskim“.

„Najwięcej wychodźców polskich skupiło się w pow. bałagańskim, gub. irkuckiej. Powstały tam nawet „wsi polskie“. W tych wsiach jednak wszędzie „bieda, pieniędzy niema, urodzaj kiepski, żyją prawie tylko samymi ziemniakami, chleb i sól widząc bardzo rzadko. Na pytanie: „po co wyjeżdżali?“ — wychodźcy odpowiadają stereotypowo: „Pojechałem, bo inni jechali i mówili, że tu dobrze“.

We wsi Czeremchowo naliczył p. Borowiński 36 „gospodarstw polskich“. Jakież to gospodarstwa? Trzy z nich zaledwie prowadzą rolnicy, reszta należy do górników i rzemieślników z Zagłębia Dąbrowskiego. Jest między nimi kowal, kilku cieśli i stolarzy oraz szewc. Kwestya przywiezionych zasobów przedstawia się różnorodnie: jeden np. przyjechał z kapitałem 1500 rb., pięciu natomiast jest takich, którzy

przyjechali za pożyczone pieniądze, licząc na zapomogę rządową. W pierwszym roku pobudowało się 12 rodzin, kilka rodzin w następnym roku, reszta do tej pory mieszka w nędznych lepiankach, skleconych z desek, chróstu i obrzuconych gliną.

Sytuacya wychodźcy, przybyłego na Syberyę bez kapitału i znajomości stosunków miejscowych, jest wysoce utrudniona — stwierdza p. Borowiński. Kto przyjechał, dajmy na to, na wiosnę, to po otrzymaniu zapomogi rządowej (od 100—150 rb.!) nie wie, co ma robić: czy wziąć się do uprawy roli, czy też budować chałupę. Jeśli zacznie uprawiać rolę — zimą nie będzie miał gdzie mieszkać, jeśli zaś pobuduje chałupę — będzie musiał żyć z gotówki. Najczęściej więc robi jedno i drugie, lecz oczywiście źle; wynik zaś taki, że mieszkać musi w lepiance, a że nie zna jeszcze własności uprawianej roli, więc przepada mu najczęściej cały plon i wreszcie, przeżywszy ostatnie pieniądze — staje na progu nędzy.

Ale czy może być inaczej przy takim materyale kolonizacyjnym? „Wszak wielu — czytamy w sprawozdaniu p. Borowińskiego — nawet konia do wozu nie umiało zaprządz, wywołując tem śmiech i szyderstwo ze strony „włościan-sybiriaków“. Nadto: „miejscowa ludność wrogo jest usposobiona do przybyszów-kolonistów i na każdym kroku stara się im szkodzić; przybysz wszystko musi kupować na wagę złota, oszukują go przy każdej sposobności, szczególnie przy kupnie koni i bydła“.

Do tych wszystkich braków i trosk dodać należy zupełny brak zaspokojenia potrzeb duchowych.

„Polska wieś syberyjska — pisze p. B. — otoczona zewsząd obcym elementem, oddalona o setki wiorst od wszelkich środowisk kulturalnych — *skazaną jest na zupełne wynarodowienie i zdziczenie.* Już w drugim roku pobytu na Syberyi wychodźcy polscy mówią dziwną mieszaniną polsko-rosyjską, ze specyalną domieszką syberyjskiego i buryackiego narzecza. Jeżeli jeszcze zdarza się tak szczęśliwie, że zarząd przesiedleńczy skupi Polaków w jednej większej kolonii, to wtedy mają oni prawo żądać wystawienia szkoły i kaplicy i nie wynaradawiają się tak prędko.

Lecz do tej pory w całej gubernii irkuckiej istnieją tylko dwie większe wsi polskie (od 40—75 rodzin), reszta to niewielkie kolonijki od 10—15 rodzin, rozrzucone wśród innych wychodźców rosyjskich i tubylców. Osamotnienie to odczuwają i sami wychodźcy“.

Tak wygląda prawda o wychodźtwie syberyjskiem.

W Polsce o tem wychodźtwie wie się bardzo mało, tyle co nic. Związków z krajem nie mają ci osadnicy prawie żadnych. Nikt się

o nich nie troszczy. Zapomniano o nich zupełnie. Poszli, nie wrócą i przepadną...

Dzieci ich nie będą może miały nawet świadomości swego pochodzenia i swojej ojczyzny.

I czy jest to istotna konieczność ekonomiczna i dziejowa? Czy lud polski nie ma już innych dróg przed sobą, ale tułać się musi po obcych krajach i ginąć na obcej ziemi?

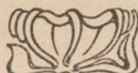
Słusznie też autor artykułu w „Wychodźcy polskim“ zadaje sobie i nam to bolesne pytanie: czy rzeczywiście wszystko już w Polsce zostało „zrobione“, tak dalece, że praca tych ludzi nie mogła znaleźć żadnego już zastosowania? „Czy zbudowane są już wszystkie drogi, uprawione wszystkie pola i ogrody, wyeksploatowane wszystkie bogactwa mineralne, pozakładane wszystkie fabryki i t. d.?“

Doprawdy, o większy tragizm sytuacyi trudno: tu kraj, który w innych warunkach mógłby zatrudnić dziesiątki tysięcy rąk pracą nad swojem podniesieniem kulturalnem, nad zrównaniem się z Europą, który, przy rozumnie prowadzonej parcelacyi, ma jeszcze dość obszarów na to, żeby zaspokoić przyrodzony głód ziemi drobnego rolnika — tam chłop polski, błąkający się w świetle zórz borealnych, po pustkach śnieżnych, skazany na nędzę, odcięty od ojczyzny i samotnie ginący.

Kto tym wychodźcom założy szkoły, pobuduje kościoły, pośle książki i pisma, otoczy ich opieką mądrą i przewidującą?

Istnieje w Warszawie Towarzystwo opieki nad wychodźcami. W zakresie jego działań leży opieka nad ludem polskim, gdziekolwiek losy go rzucą, a więc i na pustych obszarach syberyjskich. Cóż jednak zdoła uczynić Towarzystwo, jeżeli zamierzeń jego nie poprze i w pracy go nie podtrzyma społeczeństwo? Od społeczeństwa zależy sfera działania instytucyi i urzeczywistnienie jej pięknego programu. Wychodźcom polskim na Syberyi może więc pomódz tylko *ogół polski.*

(Z „Tygod. Ilustr.“). *Z. D.*



Ksiądz Piotr Gabryel Baudoin

Założyciel Szpitala „Dzieciątka Jezus“ w Warszawie.

W roku 1659, a zatem jeszcze za życia św. Wincentego, królowa Marya-Ludwika sprowadziła z Francyi do Warszawy „Siostry Miłosierdzia“ i założyła im dom główny pod nazwaniem „Świętego Kazimierza“. Zgromadzenie to, dobroczynnemi celami swemi i poświęceniem prawdziwie crześcijańskiem, na wszelkie usługi dla cierpiącej ludzkości, zjednały sobie w kraju naszym najszczytniejsze uznanie i wdzięczność powszechną. Oprócz Warszawy, Siostry Miłosierdzia znajdowały się: w Wilanowie, Płocku, Pułtusku, Lublinie, Szczebrzeszynie, Sandomierzu, Biale, Radzyminie i Kurozwękach.

Missyonarzy ś-go Wincentego à Paulo sprowadziła również Marya-Ludwika do Warszawy i osadziła ich przy kościele parafialnym Ś-go Krzyża na Krakowskiem Przedmieściu. Missyonarze ci wywierali wielki wpływ na stan nauk teologicznych jako nauczyciele seminaryów i cenzorowie książek religijnych; mieli swoje klasztory: w Krakowie, Łowiczu, Lublinie, Płocku, Mławie, Włocławku i Tykocinie. Na Litwie zaś: w Wilnie, Łyskowie, Iłtukszcie, Gliniszkach i wielu innych miejscowościach.

W roku 1717 rozpoczyna działalność swoją w stolicy Polski młody missyonarz ks. Baudouin, przybyły z Paryża, a którego, spowiednikiem Sióstr Miłosierdzia Francuzek, mianowała.

Ubogi kapłan, jako mąż gorliwej wiary, naśladował w naszej polskiej krainie Św. Wincentego à Paulo, nietylko w powołaniu, ale i w zatrudnieniach życia. I on miał tę wiarę, co święty Wincenty, że nie ten, co bogaty w skarby świata, lecz kto zamożny w skarby miłosierdzia, działa cuda. Dobroczynność bowiem chrześcijańska, przy pomocy Bożej nigdy nie zawiedzie i dla tego też jest tak wielka i potężna...

Baudouin wszedł w mury Warszawy ze świętą dewizą Świętego Wincentego: „Łaska Pana naszego niechaj zawsze będzie z nami“ i począł pukać i potrząsać skarbonką na wszystkie strony, tak samo jak Święty Wincenty... dla sierotek... dla podrzutków!...

Niewiadomo, czy legendowy pies, co ogryzał kości dziecięce w zaułkach Warszawy, o którym wspomina Julian Bartoszewicz w swoim dziele: „Opis szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie“, czy też istotnie obraz nędzy matki podrzucającej dziecię, natchnął Baudoina do zbudowania tak wielkiego dzieła jakiem jest opieka nad sierotkami i podrzutkami w polskiej krainie naszej. Jakoż Pan Bóg mu pobłogosławił, bo już po niewielu latach, kupiwszy sobie z jałmużn od miłosiernych osób obszerną kamienicę w parafii Ś-go Krzyża, wszelkiemi przynależnemi potrzebami opatrzywszy, osadził w niej Siostry Miłosierdzia, zbierał tułające się bezdomne dziatki i pod opieką w pobożności chrześcijańskiej wychowując, w przyzwoitych naukach ćwiczył.

Ale po niewielu latach dom ten okazał się za szczupłym. Baudouin postanowił zbudować już nie dom, ale wielki obszerny szpital pod imieniem: „Dzieciątka Jezus“ dla chorych sierot i podrzutków...

Istotnie, był też to cud żywy, stawiać tak wielki gmach bez pieniędzy. Ale gorliwy sługa Boży nie znał przeszkód. Łaska Pana naszego, pokora w sercu i skarbonka jałmużnicza, wystarczyły mu do założenia podwalin pod swoje gmachy dobroczynne.

Znamy legendę o policzku wymierzonym Baudouinowi przez zuchwałego magnata, przy zbieraniu jałmużny. Opowiadali nam ją: Kazimierz Brodziński, pani z Tańskich Hoffmanowa, Jan Nepomucen Jaśkowski i JuljanBartoszewicz.

Piękność czynu, jaki legenda opiewa, oraz i fakt wielkiej pokory, opisał nam w poezyi Jan Nepomucen Jaśkiewicz, tak majestatycznie, wzniośle, pięknie, że go każda dusza zrozumieć powinna, chociaż rzadko kto się podniesie do tego stopnia pokory, do jakiej podniósł się ten niezwykły sługa Boży, ksiądz Piotr Gabryel Baudouin.

Poezyę tę powtarzamy wszyscy dla przykładu, bo przez nią kształcimy serca dzieci naszych. Legenda zaś należy do wspomnień Warszawy, do bruku naszego przyrosła i jest czystą własnością Szpitala Dzieciątka Jezus, bo dla niego ów cud pokory się spełnił.

Pewnego razu po trudach i mozołach dziennych, kiedy ksiądz Baudouin w celce swej zatopiony był w modlitwie, przed udaniem się na spoczynek, z pobliskiego pałacu, kąpiącego się w blasku niezliczonych świateł, uszu jego dochodziły nieustannie wiwaty, krzyki, hałasy.

— O! gdybym ja miał to złoto, co tam się przez ręce możnych panów przesunie, ile łez mógłbym osuszyć sierotkom moim!...

— Boże! składając ręce jakby do modlitwy, szepnął w pokorze — Ty co opiekę masz nad sierotkami, pobłogosław myśl moją, boć ona czysta jak kryształ biegnie pod niebiosa do stóp Twoich świętych... i, wziąwszy swoją nieodstępną skarbonkę wyszedł...

Droga nie była daleka. Minął kamienicę i kościołek Ś-go Krzyża, skręcił na plac obok Dominikanów Obserwantów, gdzie dawniej stała kaplica ruska, później pałac Staszyca, a dziś pierwsze gimnazyum męskie. Przesuwał się między natłoczonemi kolasami, pochylony, przygarbiony: śpieszył, aby hałas, wrzawa, krzyki woźniców i służby możnych panów, nie obrażały uczuć jego tkliwych.

Stanął wreszcie w pałacu, gdzie życie wrzało, kipiało, tryskało...

Nie zatrzymany przez nikogo, pokorny jałmużnik podążył po szerokich, drogiemi kobiercami wyścielanych schodach na piętro, a stanąwszy w otwartych podwojach, ze zdziwieniem i smutkiem spoglądał jak w przepysznych komnatach magnackiego pałacu pycha i duma szczytu swego sięgały, jak kruszec leżący na zielonym stole, nienasyconą chciwość w graczach wzbudza.

Posłuchajmy, jak Jan Nepomucen Jaśkowski opisuje ten wielce tragiczny moment, który przeszedł do potomności naszej i rozszerzył się po całym chrześcijańskim świecie. My jednakże całej tej pięknej poezyi nie umieszczamy, podajemy tylko te słowa, które w rzeczy samej związek mają z tym przerażającym dramatem, wstrząsającym do głębi duszę chrześcijanina.

Oto one:

Razu pewnego, gdy swoim sierotom
Wyszedł za wsparciem ów człowiek ubogi,
Anioł, co jego przewodniczył cnotom,
Zawiódł go w domu wspaniałego progi:
Był to dom graczy....

. . . .

W ubogiej sali, przy zielonym stole,
Dwunastu graczów zasiadło w milczeniu;
Trzynasty z piętnem Judasza na czole,
A wszyscy jego posłuszni skinieniu.

Gdyby to złoto, co błyszczy przed niemi,
Rozlał ludzkości ginącej w potrzebie,
Ileżby jęków, łez oszczędził ziemi!..

Na tej zapadłej, trupio-bladej twarzy,
W oku, co mało z głowy nie wyleci,

Litość, że ogniem tak dzikim się żarzy?...
Wszak Bóg dał temu człowiekowi dzieci.

Patrzcie, to młode szlachetne oblicze
Już rozpacz krzywi uśmiechem Kaina;
Jeszcze dwa kroki fortuny zwodnicze,
A matko! matko! płakać będziesz syna.

. . . .

Pobożny kapłan ku temu się zbliżył,
Który najbardziej miotał kruszec złoty,
Głos do pokornej, cichej prośby zniżył,
I żądał wsparcia w imieniu sieroty.

W tej właśnie chwili odwiecznym wyrokiem
Co ludzkim sprawom pewien cel zamierzył,
Gracz przegrał kartę; — więc iskrzącem okiem,
Skoczył, kapłana w policzek uderzył.

Rozszedł się odgłos po obszernej sali,
A potem cisza... potem zimna trwoga....
Gracze zadrżeli, pobledli, powstali,
Jakby ujrzeli twarz groźnego Boga.

Choć stał spokojny, cichy niewzruszony,
Tylko blask chwały, łza w oku zaświeci,
Tylko natrętniej potrząsnął skarbony,
I rzekł: „to dla mnie Panie!.. cóż dla dzieci?!"

. . . .

Cnota tak wzniosła, godny trumf bierze,
Bo litość serca rozbraja nieczułe;
A złoto czartu niesione w ofierze,
Idzie w ubóstwa i nędzy szkatułę.

O! jeślim kogo tak prostemi słowy
Wzruszyć nie zdołał, niech pójdzie, przebieży
Dzieciątka Jezus w Warszawie budowy,
A uczci męża i w cnotę uwierzy.

I cóż się później stało? zapytujemy. Mówią, że obrażający wobec tak uroczystego słowa: „to dla mnie, cóż będzie dla dzieci?“.... wtedy dopiero zrozumiał całe bezeceństwo swojego czynu i wszystko złoto, co przed nim leżało, zsunął do pudełka Baudouinowi, mówiąc, że to wszystko dla sierot. Okupił wprawdzie winę swoją, nietylko hojnym datkiem, ale co większa, co wznioślejsza, okupił winę zwycięstwem nad sobą samym...

Opowiadają, że znalezienie się Baudouina sprawiło zapał w Warszawie, że datki teraz sypały się hojniej i częściej, że Baudouin wyszedł na bohatera chwili, bo go wszędzie rozrywano i rzeczywiście, czyn jego bohaterski został w historyi, a kto tylko słyszał o Baudouinie, słyszał jednocześnie i o jego policzku.

Wiele osób udawało się na miejsce wznoszących się gmachów, już to z ciekawości, już też aby złożyć datek wielkiemu jałmużnikowi, który dla ubogich żywy cud buduje. Wszyscy opowiadali sobie o dziwaku, a dziw ten rosnął z każdym dniem, aż dostał się na dwór królewski, do króla Jegomości.

Razu pewnego, kiedy u króla było wiele zgromadzonych panów i duchownych świeckich i zaczęto mówić z zajęciem o księdzu Baudouinie i jego wielkiej fabryce, wtenczas król rzekł do zgromadzonych panów:

— „Oto — Mości Panowie — jedźmy wszyscy razem i zobaczmy, co ten ksiądz tam robi“...

Stało się. Król wsiadłszy do kolasy, pojechał, a za nim wszyscy panowie i uformował się długi szereg sześcio i cztero-konnych pojazdów. Przybywszy król z panami na miejsce rozpoczętych budowli, obszedł z nimi całe dzieło, podziwiając tak wielkie i wielkich nakładów potrzebujące przedsięwzięcie. Obejrzawszy wszystko, rzekł do obecnego Baudouina:

— A masz-że księże fundusze na wybudowanie tak wielkiego gmachu?

— Nie mam — Miłościwy królu — i ledwie mi z opatrzności Boskiej wystarczyło na zaczęcie, jakie Wasza Królewska Mość widzisz — odpowiedział kapłan.

— A na dalsze budowanie, jaką masz nadzieję, że będziesz miał fundusze? — zapytał się znowu król.

Wówczas Baudouin wzniósłszy oczy do nieba, odpowiedział:

— Miłościwy królu! całą moją nadzieję zasadzam na Opatrzności Boskiej; alboż to nie ta Najwyższa Opatrzność sprowadziła Waszą Królewską Mość na to miejsce z tak wielu J. O. i J. W. Panami?

Słysząc król te słowa czcigodnego kapłana, rozczulił się i łez

kilka uronił; podobne uczucie ogarnęło panów otaczających króla. Po krótkiej zadumie, zwróciwszy się król do panów, rzekł.

— No — Mości Panowie — trzeba temu księdzu dopomódz...

I zaraz z woli królewskiej zrobiono podpisy na składkę, na czele której król podpisał się na kilka tysięcy dukatów; za królem poszli panowie na rozmaite sumy tak, iż te improwizowane składki wyniosły parę kroć sto tysięcy złotych.

Należy nam teraz postawić dwa zapytania, a mianowicie:

a) kto był tym zuchwałym człowiekiem, co obraził wzniosłą pokorę niewinnego sługi Bożego?

c) gdzie ten pałac, jego sale bogate i stół zielony przy którym go spoliczkowano?

Nazwisko nieznanego magnata, było z górą sto lat w ukryciu. Ukrywano je aby rodzinie obrażającego nie przynieść ujmy. Społeczeństwo nasze było pod tym względem nad podziw drażliwe i nie uważało, że przeproszenie było także czynem wzniosłym; że datek obfity był ofiarą, dla szpitala. Dopiero znakomity historyk polski Julian Bartoszewicz, odnalazł go w portrecie młodego i dorodnego mężczyzny, z ufryzowaną głową i w orderach. Odnalazł go w Szpitalu Dzieciątka Jezus pomiędzy dobroczyńcami i na jaw wyprowadził.

Jest to Franciszek Bieliński, pisarz Wielki Koronny, syn Michała, Wojewody Chełmińskiego, urodzony około 1739 roku. Młody wojewodzic Chełmiński podróżował wiele po Europie, był to człowiek wielkiego świata, bogaty, modnej wolteryańskiej edukacyi.

— To ten sam, co uderzył w twarz Baudouina — powiedział w swoim czasie stary oficyalista szpitalny, pan Mucharski, który wiadomość tę miał od ks. Grzankowskiego, a ks. Grzankowski był rektorem Szpitala Dzieciątka Jezus, już w epoce Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego; pamiętał dawne czasy i łatwo mógł się dowiedzieć o tem z ust współczesnych świadków wypadku...

Co zaś do drugiego pytania: gdzie ten pałac, w którym dokonano tego ohydnego czynu, to o nim historycy nie wspominają, ani Bartoszewicz nam tego nie rozwiązuje. Wnosimy z tego, że nietylko nazwisko sprawcy, ale nawet i ten nieszczęsny wspaniały gmach był przed światem ukrywany. A jednakże spotkaliśmy się z poważnymi ludźmi, którzy orzekli, że smutny ten wypadek zdarzył się w pałacu Karasia, na Krakowskiem Przedmieściu, wprost kościoła Ś-go Krzyża...

Byli to „ci ostatni“, mężowie głębokiej wiedzy, nauki i oświaty: Kazimierz Władysław Wojcicki, Jan Papłoński i inni, a do których grona i Juljan Bartoszewicz należał. Zebrania odbywały się w Niedziele,

w godzinach popołudniowych u redaktora Biblioteki Warszawskiej, sędziego Szabrańskiego, przy ulicy Mazowieckiej pod Nr. 11, na pierwszem piętrze od frontu. Było to raczej ministeryum wszystkich gałęzi: rolnictwa, leśnictwa, finansów, wojny, wyznań, oświaty i sprawiedliwości....

Tam się toczyły rozprawy nad krajem i jego losami, nad ludem i jego smutną, szarą dolą i niedolą.

Było to grono mężów, których pamięć nigdy się nie zatraci. Szlachetność, dobroć, serce, gorąca miłość dla nieszczęśliwej ojczyzny naszej, jałmużna i miłosierdzie dla rozproszonych po świecie tułaczy naszych. Oto skarby, któremi mężowie ci, na wszystkie świata strony szafowali.

Pewnej niedzieli, na takiem zebraniu, kiedyśmy już odczytali listy nadeszłe od tułaczy z różnych stron świata, przystąpiono do rozprawy nad policzkiem Baudouina i jego nieograniczoną pokorą. Bartoszewicza na zebraniu nie było, albowiem w owym czasie już nie domagał. Trapiły go bezsenne noce, zbliżała się straszna niemoc — choroba Broghta. Odczytywaliśmy poezyę Jaśkowskiego, „O policzku Baudouina“ z książki „Opis Szpitala Dzieciątka Jezus“, którą drukiem ukończono, a która przed nami na stole leżała...

— Czemu „Julek“ nie wymienia miejscowości, w której czyn spełniono? pytali się wzajemnie. Czyżby nie wiedział, gdzie się to stało? czyżby się jeszcze z rodziną liczył?... Na te pytania nie mamy odpowiedzi. Ś. p. Julian Bartoszewicz tajemnicę tę z sobą do grobu zabrał.

Nastąpiły rozprawy. Jedni utrzymywali, że wypadek miał miejsce na Grzybowie, gdyż Bielińscy w tymże majątku posiadali pałac i tam mieszkali; inni wymieniali różne miejscowości. Tylko dziadek Wojcicki, obchodząc w koło długi, zielonem suknem nakryty stół, z założonemi w tył rękami, bo taki miał zwyczaj, słuchał i milczał...

— A ja wam powiadam — przerwał w końcu — że wypadek ten zdarzył się nie na Grzybowie, ale w pałacu marszałka dworu króla Stanisława Augusta, Kazimierza Karasia, na Krakowskiem Przedmieściu przy rogu ulicy Oboźnej i, nie jak pisze Jaśkowski w bogatej sali, ale w gabinecie graczy, znajdującym się w narożniku pierwszego piętra, przylegającym do bogatej sali.

— Być może — mówił dalej Wojcicki — że Boudouin nie wiedząc o schodach bocznych prowadzących do gabinetów graczy, wszedł głównemi schodami do sali, skąd dostrzegłszy w przyległym gabinecie grających i błyszczący na stole złoty kruszec, skierował tam swe kroki...

Dziadkowi nikt nie przerywał. Wyjątkowo też w tym dniu nie

dowcipkowano, gdyż wiadomość o wzmagającej się niemocy Bartoszewicza, wzbudzała poważny nastrój w zebranych...

Po chwili jednakże, kiedy poruszyły się dwie nabrzękłe poduszeczki pod oczami dziadka i zadrgały też nad oczami długie, siwe krzaczaste rzęsy, Wojcicki tak dalej mówił:

— Tak jak Kazimierz Karaś był marszałkiem dworu króla Stanisława Augusta, tak też i ojciec mój był przybocznym lekarzem króla Stanisława Augusta. Wiedzcie zatem — panowie — że wiadomość o policzku Boudouina pochodzi z dobrego źródła. Król i dwór nieomylnie znali miejscowość, gdzie haniebny czyn spełniono. Ja zaś wiadomość tę czerpałem z ust mojego rodzica, który jako lekarz przyboczny króla Jegomości, zapewne dobrze był poinformowany.

Niebawem też, z tym zacnym starcem i przyjacielem młodzieży, zwiedziliśmy gmach cały, a także i boczne schody, prowadzące ongi do gabinetów graczy.

W narożniku pierwszego piętra, gdzie sługę Bożego spoliczkowano, zastaliśmy zamieszkałą ubogą rodzinę żydowską; dalsze zaś ubikacye, ciągnące się wzdłuż ulicy Oboźnej były ostemplowane, a drzwi i okna deskami zabite.

Dziadek Wojcicki zadumawszy się głęboko, cichym głosem wyszetał:

— O, pycho!... pycho!... jakżeż okrutnie cię zdeptano!....

Dziś po latach bez mała czterdziestu, kiedy to piszemy, nad dawnym pałacem Karasia unoszą się tumany kurzu, a historyczny narożnik pada w gruzy, ustępując miejsca rozszerzeniu ulicy Oboźnej od Krakowskiego Przedmieścia do nowej przecznicy przed nowo-budowanym teatrem.

Marcin Kopiec.

Warszawa, d. 22 czerwca 1912 r.





Obchód Skargi w Krakowie.

Uroczystości skargowskie rozpoczęły się 25 września nabożeństwem na Wawelu z udziałem przybyłych ze wszystkich stron Polski uczestników zjazdu.

Kraków przybrał odświętną szatę. Liczne domy prywatne i budynki miejskie, oraz kościoły udekorowano chorągwiami. Szczególnie wspaniałe przystrojono nowo wybudowany kościół oo. Jezuitów na Wesołej; wyniosłą wieżę okolono trzema wieńcami białych i czerwonych lampek elektrycznych, pięknie wieczorem uwydatniających się na ciemnem tle nieba.

Komisya, wydelegowana przez księcia-biskupa krakowskiego, przystąpiła w kościele św. Piotra do otwarcia trumny Skargi, celem jej odczyszczenia z okazyi jubileuszu. Przewodniczył ks. biskup Pelczar. W kościele zebrała się liczna publiczność. Zdjęto łańcuchy z trumny, podniesiono wieko i oczom przedstawiły się szczątki nieśmiertlnego proroka narodowego. Na stosie kości spoczywała czaszka, bardzo wybitnie rozwinięta, o wielkich oczodołach, w których spoczywać musiały wielkie, wyraziste oczy. Kości wskazują na wzrost trochę więcej niż średni.

Trumnę otwartą wyniesiono następnie na środek kościoła, gdzie ks. biskup Pelczar odmówił krótkie modlitwy wraz z zebraną publicznością.

Skarga. (Wizja z przeszłości).

W katedrze tłum, jak mrowie, aż rozpiera wnętrze...
Głowy, jak pszenne kłosy, gdy wiatr niwą wionie,
zdjęte żalem, pokutnie chylą się ku stronie,
gdzie wśród gromnic obrazy płoną przenajświętsze —

wzdech modlitewny rwie się z łon tysiąca głucho...
Wtem cichość legła martwa...
Stanął na ambonie
wielki prorok, dusz tyran, i obie wzniósł dłonie,
by gromem razić naród...
Król przysłania ucho,
jak posągi z marmuru przy nim senatory,
na kolanach zastyga lud, pełen pokory...
I padły słowa straszne...



Najświętszy Sakrament na placu Schwarzenbergów podczas procesyi w dniu 15 września 1912 r., na Kongresie Eucharystycznym w Wiedniu.

Ze czcią i ze skruchą
wsłuchiwał się w nie trwożnie kraj, co już był chory...
— Ziemie i księstwa wielkie, które się z koroną
złączyły, was odbieżą dla waszej niezgody,
a wy, drugiemi coście rządzili narody,
pośmiewiskiem będziecie, tak bowiem sądzono,
Jako nędzni wygnańcy, bez pana i domu,
bez ojczyzny, królestwa, pogardą oplwani,

kędy byliście pierwej wielce poważani,
tam was będą nogami popychać dla sromu.
W żelaznem jarzmie hańby chadzając po świecie,
w pragnieniu, w niedostatku, w urąganiu, w głodzie,
nieprzyjaciołom waszym wy służyć będziecie,
żeście sobie nie chcieli w szczęściu i pogodzie,
dosytu wszego pełni...“
Dreszcz wionął przez naród,
bo uczuł w sobie plenny nieszczęść przyszłych zaród...
Król utkwił w dal łzą cichą przesłonione oczy,
jak gdyby marę krwawą ujrzał wśród zamroczy
kościelnej wnęki....
Cisza...
Senatory bledną....
Wzdech, z łon wszystkich dobyty, zlał się gdyby w jedno
pełne bólu wołanie do Pana nad Pany,
a dusz tyran tak dalej gromił, niezbłagany:
— Pyszni, dumni jesteście, ludu krzywdziciele,
chciwi dobra ojczyzny, bo macie za wiele,
boście nienasyceni, niepomni, że Matka,
skoro zginie, z nią wszystko ginie do ostatka...
o wy, dzieci wyrodne, o wy, samolubi!“

I zacichł męki pełen święty mąż natchniony....
Szloch, głośniejszy nad chorał, wzniósł się z pod ambony,
I, echem odbijając od sklepień świątyni,
zdało się, iż cud w Polsce swą mocą uczyni,
a wtedy prorok Boży tak znów kazał dalej:
— Gdy okręt tonie, wichrem miotany po fali,
głupi jeno tłomoki własne opatruje,
a nie broni, mniemając, iż sam się miłuje,
chociaż gubi sam siebie, bo, co chwycił w dłonie,
w odmęcie wód z okrętem wszystko wraz utonie.
A dopiero, gdy skrzyńmi pogardzi własnemi
i obrony okrętu ima się z innemi,
dopiero wtedy wszystko odzyska, ocali,
okręt bowiem wypłynie ze wzburzonej fali....
Ten okręt — to *Ojczyzna*, co nas wszystkich niesie!“

I znowu szloch potężny z łon tysiąca rwie się...
„Ojcze nasz, coś jest w niebie“ — grzmi organ na chórze,
płynie pośpiew modlitwy cichej, rozłzawionej,

ponad gotyk katedry, pod niebiosów trony,
posłowie, mdlejąc w żalu, chwieją się przy murze...

. . . .

. . . .

I wyszedł naród z Bożą w swem sercu podnietą,
lecz dnia tego na sejmie znów huczało „veto"!

Remigjusz Kwiatkowski.



Widok z procesyi z Najśw. Sakramentem w dn. 15 września 1912 r. na zakończenie XXIII Eucharystycznego międzynarodowego kongresu w Wiedniu.

Głos z Francji.

Ks. dr. Leon Postawka z Paryża zwrócił się z listem otwartym do duchowieństwa polskiego, zebranego na Kongresie Eucharystycznym w Wiedniu, przedstawiając potrzeby misyi i ludności polskiej we Francyi. Czytamy tam:

„Choć nie w Ojczyźnie, choć na obcej ziemi, jednak rodakom naszym służę, jako rektor, kierownik Misyi polskiej w Paryżu. Ilość Polaków stale, czy czasowo przebywających w stolicy Francyi, na tysiące się liczy. Od 1830 roku wiele rodzin osiada, corocznie setki młodzieży w tutejszych uczelniach szuka wiedzy, w ostatnich latach lud nasz

przychodzi do Francyi po zarobek i pracę. A jeżeli co łączy i skupia na obczyźnie dzieci jednej ziemi, każe im pamiętać o swej Ojczyźnie, broni od wynarodowienia — to świątynia Pańska, w której zbierają się na nabożeństwa kościelne i na obchody wielkich pamiątek narodowych. Wszystkie też narodowości, pogańskie nawet, posiadają swoje świątynie w stolicy Francyi, tylko my, Polacy, jesteśmy upośledzeni pod tym względem. Kościół, przy którym obecnie Misya polska się mieści, wynajmujemy od parafii św. Magdaleny, a skutkiem tego nabożeństwa możemy odprawiać w te godziny jedynie, kiedy nam pozwolą. Czujemy się w nim obcy, bo kościół Wniebowzięcia N. M. Panny nie jest naszym kościołem.

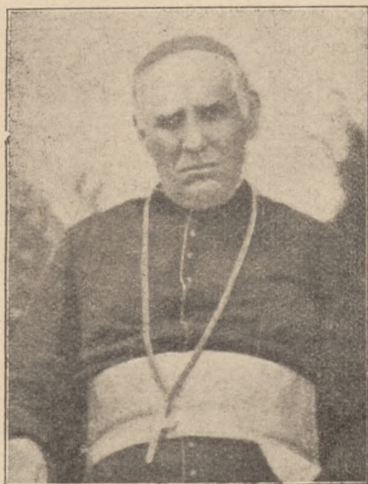
Głęboko odczuwali emigranci 1830 r. tę potrzebę własnej świątyni w Paryżu; myśl posiadania swojego kościoła stale zajmowała i zajmuje wszystkich, którym dobro naszych rodaków leży na sercu. Od opuszczenia kraju, od 50 lat blizko, na ziemi francuskiej wypadło mi pracować; widziałem zawsze te potrzebę posiadania w Paryżu własnego kościoła, a najbardziej przekonałem się o tem, kiedy mi powierzona została piecza nad Misyą polską. Jedynem też mojem pragnieniem, moją myślą przewodnią, moim ideałem przed odejściem na sąd Boży — zostawić rodakom naszym własną świątynię w Paryżu. Kołaczę też na wsze strony do tych, którym dużo dano i o pomoc proszę, jak dotychczas bezskutecznie. Obecnie więc do Was, Najdostojniejsi Pasterze, Czcigodni Bracia, zwracam się z prośbą o radę i o pomoc. Dzięki ofiarności ś. p. księżnej Konstantowej Radziwiłłowej utrzymanie dla kierownika Misyi zostało na przyszłość zabezpieczone; niech wolno mi będzie na tem miejscu złożyć hołd pamięci nieodżałowanej opiekunki Misyi polskiej i naszych rodaków.

„Niech od Was — pisze — będzie zależny wybór jej kierowników, niech w Was ma ona swojego ojca i opiekuna. Wasze słowo zbiorowe wielką ma wagę u Stolicy Apostolskiej, przez Was Ojciec całego chrześcijaństwa w szczególniejszy sposób może się zaopiekować tą naszą instytucyą. Nie odmawiajcie, Najdostojniejsi Pasterze, tej mej prośbie z głębi serca płynącej i tych mych rodaków, którzy widzą, w jak smutnych, przykrych warunkach istnieje duchowa ostoja nasza w stolicy Francyi. Przecież Kościół polski w Paryżu — to apostolstwo naszego narodu. Niechże będziemy w ciągłej łączności z Wami.

„Wreszcie chcę przytem poruszyć ważną sprawę, tyczącą się wychodźtwa polskiego ludu do Francyi. W zasadzie byłem zawsze przeciwny tej czasowej emigracyi, gdyż jak się przekonywałem, lud nasz nie miał ze strony pracodawców zapewnionej moralnej opieki, a również nie był odpowiednio do swej pracy wynagrodzony. Jeżeli zaś już

fala wychodźcza powstrzymać się nie da, niechże przynajmniej rodacy nasi, co zmuszeni są szukać chleba na francuskiej ziemi, nie tracą wiary ojców, nie będą wyzyskiwani. Tylko silna, jednolita organizacya pod Waszym patronatem, Najdostojniejsi Pasterze, mogłaby temu zapobiedz. Istnieją trzy komitety w Paryżu, każdy z nich na swoją rękę działa, przeto najlepsza wola jednostek nie jest w stanie złemu zaradzić. Przy paryskiej Misyi polskiej organizacya taka swoje ognisko mieć winna. Niech będą dwaj stali kapłani, którzyby mogli czas swój i pracę pieczy nad moralnemi, a w razie potrzeby i materyalnemi interesami naszego ludu we Francyi poświęcić; sądzę, że znalazłyby się odpowiednie środki".

Adres ks. Postawki: Paryż, 236 bis, rue Saint-Honoré.



Ks. arcybiskup Symon.

Ks. arcybiskup Symon.

Z powodu otrzymania przez ks. arcybiskupa Symona prezenty na probostwo kościoła Maryackiego w Krakowie, należy przypomnieć ważniejsze szczegóły z życia i działalności tego zasłużonego sługi Kościoła i wiernego syna Ojczyzny.

Ks. Franciszek Albin Symon urodził się 13 marca 1841 r. w Dubowcu, pod Żytomierzem. Po ukończeniu szkół świeckich i seminaryum duchownego w Żytomierzu, wstąpił do Akademii petersburskiej, po ukończeniu której i uzupełnieniu studyów w uniwersytecie monachijskim, gdzie w roku 1864 uzyskał stopień doktora św. teologii, naj-

pierw był profesorem w tejże Akademii duchownej petersburskiej, a następnie kanonikiem katedralnym łucko-żytomierskim.

W końcu roku 1877, na skutek podejrzeń o utrzymywanie potajemnych stosunków ze Stolicą Apostolską, rząd usunął go z Akademii i wysłał na mieszkanie do Żytomierza; wszelakoż w sześć lat później, na przedstawienie ówczesnego arcybiskupa mohylowskiego, Gintowta, zatwierdził go na stanowisku rektora wspomnianej wyżej Akademii Duchownej. Objąwszy w maju r. 1884 urząd rektora, objął też na nowo katedrę Pisma Świętego. Prócz tego, na początku grudnia r. 1891 został prekonizowany biskupem sufraganem mohylowskim, otrzymał prepozyturę w kapitule metropolitalnej mohylowskiej i godność oficyała w konsystorzu.

Będąc sufraganem ówczesnego arcybiskupa Kozłowskiego, człowieka wiekowego i chorego, biskup Symon przez lat sześć rządził faktycznie obszerną archidyecezyą mohylowską i połączoną z nią dawniejszą dyecezyą mińską, zwizytował też wszystkie kościoły archidyecezyi między Dnieprem i Dźwiną zachodnią a morzem Białem i Uralem. Wreszcie, na przedstawienie rządu, został mianowany przez Leona XIII biskupem płockim dnia 21 lipca 1897 roku. Zanim jednak wstąpił na tę katedrę biskupią, zastępując czasowo nieobecnego arcybiskupa, wpadł w kolizyę z rządem, który, pod koniec tegoż samego roku, rozkazał mu wyjechać do Odessy, a następnie zagranicę, gdzie niebawem Watykan mianował go tytularnym arcybiskupem atalijskim.

Nominacya do Krakowa, wyjednana dzięki życzliwym staraniom ks. biskupa krakowskiego, Adama Sapiehy, pozwala biskupowi Symonowi osiąść na stałe w kraju, i niewątpliwie z radością zostanie powitana przez rodaków.

Kursy rolnicze.

Gubernator warszawski zezwolił na urządzenie w czasie od 15-go listopada do 15-go grudnia kursów rolniczych w Brześciu Kujawskiem.

Drobny kredyt.

W Dmosinie w pow. brzezińskim, (stacya pocztowa Główno) otwarte zostało towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe. Na prezesa zarządu powołano ks. Wincentego Giebartowskiego.

W osadzie Tarłów, w pow. iłżeckim powstaje Tow. pożyczkowo-oszczędnościowe. Działalność jego obejmuje gminy w pow. iłżeckim: Ciszyca, Pątkowice i Pawłowice, oraz wsie pow. opatowskiego z gminy Julianów: Lipowa Wólka, Julianów, Kochanów, Wólka Tarłowska, Brzozowa i Słupia Nadbrzeżna.

Nowe kooperatywy w gub. kieleckiej.

We wsi Pietrzec, gm. Wójcza, w pow. stopnickim, powstało stowarzyszenie spożywcze pod nazwą „Niwa“.

W Kurzelowie, w pow. włoszczowskim, również założono takie samo stowarzyszenie.

W Brzostówku, gm. secemińskiej, w pow. włoszczowskim, powstało stowarzyszenie spożywcze pod nazwą „Gromada“.



Ks. biskup Bandurski.

Jubileusz kapłana-patrjoty.

Przed paru miesiącami katolicka Polska oddała należny hołd wielkiemu obywatelowi kraju i kapłanowi z okazyi 25-letniego jubileuszu w służbie Ołtarza, biskupowi sufraganowi lwowskiemu ks. Władysławowi Bandurskiemu. Dostojnik ten urodził się w Sokalu w 1863 r. w Galicyi. Skończywszy szkołę wydziałową w rodzinnem swem mieście przeszedł do gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie. Po skończeniu gimnazyum i studyów teologicznych na uniwersytecie Lwowskim, został wyświęcony na kapłana, przez ks. Arcybiskupa Morawskiego, poczem wyjechał do Rzymu dla dalszych studyów. Po powrocie do kraju pracował jako wikaruysz w Kamionce Strumiłowej, — potem znalazł się w Stanisławowie a w r. 1895 został sekretarzem i kapelanem ks. Kardynała Puzyny. Wreszcie wyniesiony do godności biskupiej jest wzorem kapłana, ale jednocześnie i wzorem obywatela-Polaka. Umie łączyć interesa kościoła z interesami ukochanej Ojczyzny. Świeci przykładem całemu duchowieństwu polskiemu. Oby Bóg Miłosierny dał temu Dostojnikowi Kościoła i dobremu synowi Ojczyzny zdrowie i siły do świecenia na tej ziemi przykładem cnót obywatelskich.

Dar dla kolonij letnich.

Właściciel majątku Puczyca (w gub. siedleckiej), dr. Stanisław Nasiłowski, ofiarował na rzecz Towarzystwa Kolonij Letnich 8 mórg lasu. Czyn obywatelski d-ra Nasiłowskiego ma doniosłe dla Kolonij Letnich znaczenie, brak bowiem odpowiednich pomieszczeń dla dzieci coraz więcej daje się odczuwać. Obecnie zarząd Kolonij letnich zwraca się za naszem pośrednictwem z prośbą do osób, które za przykładem d-ra Nosiłowskiego, mogłyby pomóc kolonjom, do wzniesienia budynku i tym sposobem dać możność 480 dzieciom zdobywania corocznie nowych sił na świeżem powietrzu.

Ruch współdzielczy.

Nowe mleczarnie współdzielcze powstają we wsi Brzeźnica Bychawska (pow. lubartowski) pod nazwą „Gwiazda“, oraz w osadzie Tarnogóra (pow. krasnostawski) pod nazwą „Tarnogóra“. We wsi Niedzieżów (pow. tomaszowski) powstaje sklep spółdzielczy, a w Siedliszczach (pow. chełmski) kółko rolnicze.

Ferma rolnicza.

P. Wł Rajkowski, właściciel apteki w Kazimierzu nad Wisłą, otrzymał z departamentu rolnictwa pozwolenie na utworzenie fermy rolniczej im. Tomasza Kleniewskiego. Ferma ta będzie miała na celu praktyczne nauczanie rolnictwa synów włościańskich.

Tramwaje.

Towarzystwo „Ssudowagon“ zamierza połączyć tramwajem Będzin z Bytomiem na Śląsku przez Czeladź. Z Będzina linia tramwajowa ma się dzielić na dwie odnogi: jedna prowadzić będzie przez Sosnowiec i Modrzejów do Mysłowic, druga zaś przez Dąbrowę do Strzemieszyc. Ta ostatnia z czasem dotarłaby przez Sławków, Bolesław, Olkusz aż do Ojcowa.

Odnowienie katedry kieleckiej.

Kustosz katedry kieleckiej ks. kanonik Obuchowicz, zabrał się energicznie do uporządkowania tej prastarej świątyni. Obecnie odbywa się pokrywanie i naprawa dachu nową blachą i usuwa się zupełnie zmurszałe krokwie. Ks. kanonik Obuchowicz ma nadzieję, że przy ofiarności kielczan, świątynię dorowadzi do wzorowego ładu, bo jego pragnieniem jest, ażeby katedra kielecka nietylko zewnątrz zabezpieczoną była od zniszczenia, ale ażeby i wewnątrz pozostało wiele upiększeń, których brak odczuwa się dotkliwie.



Kompania z Liskowa z ks. Blizińskim na Jasnej Górze.

Kościół we Włocławku.

Inżynier miejski we Włocławku, p. Zieliński, sporządził kosztorys budowy nowego kaścioła na Bulwarce, obliczony na sumę 75,317 rb.

Kaplica w Płudach.

W Płudach odbyło się poświęcenie kaplicy, wzniesionej staraniem rejenta Kiersnowskiego i małżonków Wędrychowskich. Kaplica stanęła pod wezwaniem Matki Boskiej. Poświęcenia kaplicy dopełnił ks. prałat Leopold Łyszkowski, wizytator klasztorów archidyecezyi warszawskiej, w asystencyi kilku kapłanów i alumnów seminaryum warszawskiego, poczem odprawił sumę z wystawieniem Najświętszego Sakramentu.

Kółka rolnicze.

Rozwój kółek w gubernii wileńskiej nie jest zbyt wielki. Dotychczas znajdują się kółka rolnicze w 23 miejscowościach, ale w większości z nich życie zaledwie słabe okazuje przejawy. Naprzykład — Kółko trockie jest w zupełnym upadku. W ostatnich czasach powstały dwa nowe kółka rolnicze: w Rudziszkach (pow. trocki) i w Cejkiniach (pow święciański). W Rudziszkach na prezesa powołano inż. Masztokowa, na wiceprezesa p. Józefa Godowoda z majątku Bukwy. Prezesem kółka rolniczego w Cejkiniach został p. Aleksander Guze z Komaryszek, wiceprezesem włościanin Garło.

Ze Śląska Cieszyńskiego.

Na Śląsku Cieszyńskim zaszedł fakt nie pozbawiony doniosłości ze względu na forsowną akcyę popierania Niemczyzny przeciw Polakom, prowadzoną tam przez organy rządowe. Mianowicie dwaj najbardziej zasłużeni wykonawcy woli nie tyle rządu, ile Niemców, zostali usunięci ze swych stanowisk. Są to starostowie — cieszyński Firassek i bielski Kulisz. Firassek przechodzi na emeryturę, Kulisza zaś przeniesiono do rządu krajowego do Opawy. W obu wypadkach jest to objaw niełaski i niejako *votum* nieufności dla ich zabiegów dotychczasowych.

Rząd austryjacki popiera chętnie Niemców, ale radby to czynić w sposób oględny, nie narażający sobie ludności i nie wywołujący ostrej opozycyi z jej strony. Tymczasem starosta Firassek zbyt wyraźnie faworyzował Niemców, występował zaś wszędzie przeciwko Polakom, drażnił ludność i zmuszał rząd do naprawiania swych błędwó; dostał wprawdzie odznaczenie, ale został zarazem zwolniony od obowiązków, chociaż wcale o to nie prosił.

Starosta Kulisz, pochodzący z rodziny polskiej, występował znów zbyt otwarcie z mowami hakatystycznemi na wszystkich zgromadzeniach i festynach niemieckich, wskutek czego ludność poczęła coraz niechętniej odnosić się do władzy, nie umiejącej zachować bezstronnej powagi; usunięto go na stanowisko, na którem nie będzie miał już pola do podobnych popisów.

Pozostał jeszcze starosta frysztacki, p. Jaksa Bobowski, Polak z Galicyi, typ karyerowicza, gotowego wszystko poświęcić dla powodzeń służbowych. Powiat frysztacki składa się z dwóch trzecich ludności polskiej, z tego powodu rząd uznał sam, że na jego czele stać powinien Polak. Otóż ten Polak tak rządził, jakby tam ludności polskiej wcale nie było. Ile pod jego rządami stracili Polacy, powiedzeć może każda gmina polska, zyskali tylko Czesi i Niemcy. Umie on jednak lawirować, robić zgodę czesko-polską, udawać bezstronnego — dlatego też pozostał na swem stanowisku.

Poświęcenie ołtarza.

W kościele św. Stanisław w Łodzi odbyło się poświęcenie ołtarza, ufundowanego przez rzeźników miejscowych. Patronem rzeźników jest św. Stanisław, biskup krakowski, i jemu też poświęcony został nowy ołtarz w stylu gotyckim. Po oświęceniu ołtarza przez ks. prałata Tymienickiego, proboszcza parafii, nabożeństwo w asystencyi licznego duchowieństwa odprawił ks. dziekan Antoni Gniazdowski, poczem przemawiali z ambony ks. prałat Tymieniecki i ks. kanonik Szmidel. Pierwszy dziękował za sprawienie ołtarza rzeźnikom polskim, drugi zaś rzeźnikom niemieckim.

Dom ludowy w Drobinie.

Staraniem zarządu kółka rolniczego drobińskiego powstaje w Drobinie „Dom ludowy“. Kosztorys „Domu“ obliczono na 12,000 rubli, a pomieścić się w nim mają: szkoła z mieszkaniem dla nauczyciela, straż ogniowa, Tow drobnego kredytu i sklep spożywczy współdzielczy. Duża sala przez dwa piętra, przeznaczona będzie na odczyty, zabawy, przedstawienia i t. d. Głównymi ofiarodawcami są pp.: Henryk Turski z Kuchar i właściciel Drobina, p. J. Kruczewski.

Otwarcie kaplicy.

Zamknięta z rozporządzenia władzy w ubiegłym roku kaplica katolicka w Borowicach, w pow. chełmskim, do której należały wsie Liszno i Toruń, z rozporządzenia generał-gubernatora została otworzona dla odprawiania nabożeństw.

Jubileusz kapłański.

W Konopnicy, w dekanacie wieluńskim, obchodzono jubileusz 50-lecia pracy kapłańskiej ks. Stanisława Markowskiego, miejscowego proboszcza. Pobożnych z okolicznych parafii zebrało się kilka tysięcy. Jubilatowi, otoczonemu kapłanami z sąsiedztwa, na ganku plebanii włożył na głowę wieniec mirtowy i podał laskę jubileuszową ks. B. Michnikowski, proboszcz z Osiakowa, stosownie do okoliczności przemówiwszy do jubilata i zgromadzonego ludu. W czasie uroczystej sumy kazanie wygłosił ks. Lutoborski, proboszcz z Pątnowa.



Kompania z Dobronia z ks. Wróblewskim na Jasnej Górze.

Przebudowa kościoła.

Ministerstwo spraw wewnętrznych pozwoliło parafianom Bychawki na przebudowę miejscowego kościoła kosztem 12 tysięcy rubli.

Dramat w katordze.

W „Russkiem Słowie“ ukazał się tekst listu jednego z przestępców politycznych, pisanego z więzienia kutomarskiego, katorgi nerczyńskiej na Syberyi. List ten brzmi, jak następuje:

„Nie mam ochoty pisać, a jednak muszę napisać, ponieważ jutro

może się tak zdarzyć, że napisać nie będzie można i nikt nie będzie wiedział, co się tu dzieje.

Pisałem już, że 18-go lipca zjechał do więzienia nowy naczelnik Gołowkin. Na gruncie „komend“ i grubiańskiego obchodzenia się, polegającego na ulicznych wyzwiskach, szybko wynikł poważny zatarg. Więźniowie w ciągu siedmiu dni nie przyjmowali pokarmu. Była nawet próba otrucia się, ale na szczęście nieudana. Wtedy zatarg załagodzono.

Ale 27 sierpnia wynikł on znowu w formie ostrzejszej. Przyjechał rewidować więzienie inspektor Siementowskij i dla poparcia naczelnika zachowywał się grubiańsko, mówił wszystkim „ty“. Z tego też powodu wynikło starcie pomiędzy nim a przestępcą politycznym Briljonem, które zakończyło się rozkazem oćwiczenia Briljona. Rozkaz został wykonany, a 30 sierpnia od obiadu rozpoczęła się nowa głodówka. Sytuacya była tak dalece bez wyjścia, że trudno było nawet przypuszczać, iż zatarg się załagodzi.

Wtedy zaczęły się samobójstwa. Pierwszego dnia umarło trzech: Masłow, Ryczkow i Lejbazon. Na drugi dzień jeszcze jeden Puchalski. Pozatem trzech otrutych uratowano, są to: Michajłow, Moszkin i Kozłow (co do tych nazwisk nie jestem pewien, wiadomości bowiem dochodzą do nas z trudnością). Dzisiaj zaś głodówka trwa już czwarty dzień.

Wobec ogólnego wycieńczenia wątpię, czy się przeżyje 7—8 dni. Jeżeli do tego czasu nie potrują się i nie pozarzynają, to zaczną umierać z osłabienia“.

List datowany 3 września, zaś 4-go dodany został przypisek tej tej treści:

„Dopiero co otrzymałem nowe dokładne informacye. Gołowkin oznajmił w celach, że żąda od politycznych tak samo, jak od kryminalnych przestępców modlitwy, „zdrawia żełaju“ i t. d., za nieposłuszeństwo zaś będzie stosował rózgi.

Prócz czterech zmarłych otruli się jeszcze Kozłow, Moszkin, Czerstow i Odincow. Michajłow zaś zwaryował.

Po pierwszej katastrofie Gołowkin zapowiedział w celach, co następuje: „Otrzymałem instrukcye od Siementowskiego, nie stosować do głodzących się sztucznego odżywiania. Wasza rzecz umierać, a moja — chować. Oto i wszystko“.

Tyle autor listu o tych przerażających stosunkach.



Wiadomości polityczne.

Wojna na Bałkanach.

Oddawna oczekiwany wybuch na Bałkanach nastąpił. Oddawna nie ulegało wątpliwości, że wojna wisiała w powietrzu i lada chwila może ogarnąć całe Bałkany. Lecz wielkie mocarstwa nie były skore do akcyi ryzykownej i nie uległy łatwemu entuzyazmowi, który miałby desydujący wpływ na postanowienia małych państewek.

Pośrednictwo mocarstw pomiędzy państewkami bałkańskiemi a Turcyą było chwiejne i nieszczere.

Aby nie dać czasu mocarstwom zainteresowanym do ściślejszego porozumienia się i wywarcia większego nacisku na obie strony, państewka bałkańskie postanowiły przyśpieszyć akcyę i postawić Europę wobec faktów dokonanych. Misyę tę powierzono Czarnogórzu, które też pierwsze wypowiedziało Turcyi wojnę i rozpoczęło kroki zaczepne.

Doszło już do krwawych potyczek między armią czarnogórską, a najbardziej wysuniętemi oddziałami tureckiemi.

W grę tu jednak wchodzą zamiary Austryi, upatrującej w Sandżaku Nowobazarskim jedyną i najkrótszą drogę ku Salonikom, temu celowi polityki austro-węgierskiej na Bałkanach. Wązki pas ziemi, przerżnięty koleją Sarajewo — Bazar — Mitrowica — Skoplje — Saloniki, mógłby połączyć ziemie austro-węgierskie z morzem Egejskiem.

Ku tak wielkiemu celowi idzie Austrya powoli, lecz wytrwale; to miało na względzie zajęcie „tymczasowe“, a następnie całkowite przyłączenie Bośni i Herrcegowiny, o tym myślano przy ostatnich pertraktacyach z mocarstwami i podejmowaniu akcyi pojednawczej wraz z Rosyą; wreszcie dla tego jedynie zostały postawione przez gabinet wiedeński tak wielkie żądanie kredytów na cele wojenne. Prasa wiedeńska wyraźnie domaga się aneksyi Nowego Bazaru.

Naturalnie, że takie zamiary spotkają się z kategorycznem *veto* ze strony Rosyi.

W konwencyi z d. 26 lutego r. 1909, w której Hilmi-basza i mar-

kiz Pallavicini regulowali ostatecznie stosunki pomiędzy Turcyą a Austryą w sprawie Bośni i Hercegowiny został zamieszczony następujący artykuł:

„Austro-Węgry oświadczają, że zrzekają się ostatecznie wszystkich praw, które były im przyznane przez traktat berliński w stosunku do dawnego Sandżaku Nowobazarskiego“.

Dzisiaj korzystanie z zawieruchy bałkańskiej, aby cofnąć to wyrzeczenie się, będzie uważanem przez Rosyę za przekroczenie swych praw i kompetencyj.

Z powodu rozpoczętej wojny pomiędzy Turcyą a państwami bałkańskiemi podajemy czytelnikom naszym obrazki bałkańskie.

Kto nie był na Bałkanie, nie może wiedzieć, do jakiego stopnia jest tu wszystko malownicze i porywające.

Cudowny górski kraj. Na północnych stokach gór „bukowo drwo“ — las bukowy; na południowych Bałkanu, średniej góry Rodopu, macierzanka zalega całe stoki gór.

Dołem bystro płyną górskie strumienie i rzeki w czerwonych brzegach.

Ej goro zelena,
Ej wodo studena...

W tych górach, nad temi rzekami mieszka lud tęgi i długowieczny. Chłopy, jak dęby; małomówne; lakoniczna ich mowa jest prędka. Stroje rozmaite a piękne. Szop, albo, jak mówią o nich południowi trakijcy, „pieczenieg“, nosi strój, podobny do naszego górala tatrzańskiego; portki obcisłe wyszywane, koszula zgrzebna, rozchełstana na opalonych piersiach, serdaki białe i gunie niebieskie z krótkiemi rękawami; w lecie mała czapeczka sukienna czerwona, a w zimie ogromna czapa barania, płaska jak grzyb.

Kobiety silne, pracowite, cnotliwe, w strojach niesłychanie bogato haftowanych własnoręcznie, w koszulach bawełnianych lub jedwabnych, własnego przędzenia i tkania. Noszą tuniki sukienne bez rękawów — takie same, jakie się widuje na starych malowidłach bizantyńskich lub na monetach. Takie same tuniki nosiły patrycyuszki cesarstwa wschodniego. Naszyjniki, zausznice, bransolety, klamry u pasów — przedhistorycznej formy. Wyroby takie trafiają się w kurhanach przedhiostrycznych nad Wołgą. Zresztą Błgary (bo tak mówią) podobnie bardzo brzmi, jak Włgary. Pono tam, nad szeroką Wolgą, ich kolebka.

Północni Bułgarowie przeważnie blondyni.

Południowy trakijczyk (południowa Bułgarya — to dawna Tracya) nieduży, z czarnym zarostem, namiętny.

Kobiety poważne, surowe i piękne.

Stroje po miastach ciemne, a u kobiet prawie mnisze.

Za to po wsiach rozmaitość strojów, nigdzie niewidziana. Co wieś — inny ubiór. Im ziemia bogatsza, tem strój piękniejszy.

W okolicy Twardicy Horteniu, gdzie hodują dużo jedwabników, ubiory kobiet są nadzwyczajnie bogate i piękne. Nieraz strój dochodzi do ceny 10,000 lewów (franków).

W maju, gdy róże kwitną, od Kazanłyku do Eski-Zagry dziewczęta chodzą w świeżych wieńcach różanych.

W górach pasterki kucowałaskie (albo karakaczańskie) pasą owce tylko w towarzystwie psa i osła. Same miesiącami przebywają na szczytach gór. Są one uzbrojone w kindżały i pistolety. Bułgarscy pasterze noszą spodnie z koziej, kosmatej skóry, a że z powodu upału często nie kładą koszuli i grają na fletach o podwójnym głosie — powstał w starożytnej Grecyi mit o ludziach leśnych, czyli faunach. Widziałem takiego żywego fauna; gdy spostrzegł moją dorożkę, uciekł w krzaki. Było to w „Średniej górze".

Tragiczna przeszłość tego ludu: pięćsetletnia niewola u krwawych morderców-Turków wycisnęła na nim piętno melancholii.

Pieśni, starożytnej bardzo formy muzycznej, są to smutne przeważnie *recitativa*, którym odpowiada chór.

Taniec narodowy „choro" ma trzy takty silnie markowane. Tańczą go wszyscy młodzieńcy i dziewczęta razem, trzymając się za pasy. Tworzy się z tego ogromne koło, w środku którego stoją muzykanci: kobziarze lub skrzypacy (kobzary, guślary).

Wybitną cechą Bułgarów jest ta, że nie znoszą obcych osadników po wsiach na gruncie. Kolonistów cudzoziemskich niema wcale, choć ogromne obszary ziemi, najurodzajniejszej w Europie, leżą odłogiem.

Po wojnie w r. 1877 Rosyanie,zachwyceni klimatem i ziemią, próbowali zakładać folwarki (czyfliki), ale dziś już po nich i śladu nie zostało.

Na moje pytanie: dlaczego nie puszczają na swoje ziemie cudzoziemców? — odpowiedzili mi, że „urodzą się Bułgarzy, którzy tu będą orać". To też głodu ziemi w Bułgaryi nie będzie nawet za 200 lat.

Kraj to rolniczy.

Uprawiają tam: pszenicę, jęczmień, kukurydzę, tytuń, wino, róże i masę przewybornych jarzyn.

Na południowym krańcu Tracyi uprawiają także ryż (oriz), który jest mniejszy od znanego u nas, ale smaczniejszy.

Z owoców głównie winna jagoda, orzech włoski, morele, maliny, agrest, migdały i figi; gruszek i jabłek mało.

Gdy przyszło oswobodzenie Bułgaryi północnej i południowej, była w całym kraju tylko jedna klasa ludzi: rolnicy. Ponieważ odcięci byli zupełnie od Europy, każda wieś wystarczała samej sobie. Wszystkie rzemiosła można znaleźć w każdej wsi: od ceglarza i dachówkarza do jubilera. Kupowali tylko kawę, cukier, sól i żelazo. Dziś, pod wpływem ogromnie szerokiej konstytucyi i mądrego Ferdynanda, kraj ten rozwija się niesłychanie szybko w sensie dodatnim. Wyprzedził daleko Serbów i Greków. Król Ferdynand nie jest wcale wojakiem, jakim był Aleksander Battenberski, ale za to jest tęgim politykiem, czego dowody już niejednokrotnie złożył. Umie nad ludźmi panować i łatwo odkrywa słabe lub śmieszne ich strony, co mu zjednywa nad swymi poddanymi ogromną przewagę moralną. Jenerał Sawow, faktyczny wódz naczelny — w obecnej wojnie — jest to człowiek spokojny, bardzo zrównoważony i bystry.

*

* *

Serbowie, to miły naród, bardzobyśmy ze sobą dobrze żyli, gdybyśmy byli bliżej. Śpiewają bardzo ładnie i często, ale przeklinają bardzo brzydko. Niesłusznie od roku 1885 mają złą opinję, jako żołnierze, bo wtedy poprostu nie chciało im się bić z Bułgarami, nie wiadomo o co.

Sądzę, że jeśli przyjdzie do wojny z Turcyą, poprawią znakomicie swoją opinię.

Czarnogórcy, ach! Czarnogórcy! żeby kto znalazł na świecie piękniejszych rycerzy od nich, dam mu konia z rzędem. Ich wyhodowała od kilkunastu pokoleń bezustanna wojna z Turkami. Mają ją we krwi.

Spotkałem w Tirnowie Poko Pawłowicza, wojewodę czarnogórskiego. Był to ogromny starzec, lat pod siedmdziesiąt, pleczysty, zdrowy o różowej twarzy, przeciętej ogromnemi, białemi wąsami. Natychmiast po poznaniu się ze mną, oświadczył mi, że bił się z Turkami *trzysta razy*.

Jeśli miał lat 70, to trzeba przyjąć, że pierwszy raz bił się z Turkami, mając lat 15—18. Bił się więc przez całe życie, co dwa miesiące. Bił się i jego wnuk, chłopak 18-letni — ten bił się dopiero 3 razy. Można sobie łatwo wyobrazić, że tacy rycerze nie przejmują się nad miarę tem, że zaczynają świstać tureckie kule.

Turcy więc będą mieli przeciwników, co najmniej godnych siebie, bo i oni zabijać to już umieją dobrze.

Jeśli się rozpali wojna, będzie to taka wojna, jakiej nie było. Całe morze krwi, wiele pohańbienia niewiast, mordów dzieci, rabunków dobytku. Może się skończy *status quo*, o którym ciągle ględzi europejska dyplomacya, bo przecież chyba nie będzie sprowadzać gwałtem Turków do Europy.

Boją się tego dyplomaci jak ognia, bo czują, żeby się pogryźli o to, kto złapie Stambuł, kto zajmie cieśniny i t. d.

Zobaczymy. *A. Piotrowski.*

Korespondent „Neue freie Presse“ tak opisuje swoje spostrzeżenia z pobytu w Filipopolu:

„O godz. 1-ej w nocy — pisze — jestem w Filipopolu. Ulice puste, nie widać żywego ducha. Jednocześnie z ogłoszeniem mobilizacyi zaprowadzono w całej Bułgaryi stan oblężenia i zabroniono wychodzić na ulicę po godz. 10-ej wiecz. Nazajutrz słychać już od godz. 5-ej rano nieregularny, głośny pochód rezerwistów. Przechodzą przez miasto setkami, tysiącami. Wszystkie sklepy i magazyny pozamykane, bo personal poszedł do szeregu. Przed dworcem istne mrowie — rezerwiści, kobiety płaczące i pełno dzieci. Przed stacyą stoją trzy długie pociągi. Tłok, ścisk nie do opisania. Siedzieć nie ma gdzie, więc niemal wszyscy stoją, stoją na gankach, dziesiątki siedzą na dachach wagonów. Co chwila rozlega się przeciągłe „hurra“! przeplatane pieśniami narodowemi i żołnierskiemi śpiewkami. Na wszystkich twarzach widać radość i podniecenie i zdaje się, że to najszczęśliwsi ludzie pod słońcem, chociaż czekają na odjazd od 9-ej rano do 1-ej w południe. Są tu chłopcy młodzi od lat 18 i starcy siwowłosi, zebrani w radosnej harmonii na wielkie, elektryzujące słowo: wojna! O godz. 1-ej rusza z Filipopolu ekspres, t. zw. konwencyjny, łączący bezpośrednio Konstantynopol z Wiedniem. I tu pchają się rezerwiści, do oddziałów sypialnych, do wagonu restauracyjnego. Onieśmieleni niewidzianym przepychem ekspresowych urządzeń, tłoczą się w milczeniu, dopiero na hasło dane przez jakiegoś podoficera, rozbrzmiewa ze wszystkich piersi potężny hymn narodowy: „Szumi Marica...“. Pociąg rusza, lecz stukot kół ginie wśród dźwięku pieśni“.

Powoli zaczyna się rozmowa. Kilku śmielszych wojaków otacza korespondenta i padają zapytania o nastrój w Austryi, o jej ewentualny w wojnie współudział i t. p. Jakiś zuch zaczyna rezonować: Nie chcemy ani kawałka Macedonii, a Turek musi się z niej wynosić. Precz

z Turkiem! Z nami Serbia, Grecy i Czarnogórcy. Kto się oprze takiej potędze? Szelma Rumun ociąga się i tchórzy, nie darmo został rosyjskim feldmarszałkiem! A co Turcy? I rozlega się głośny, wesoły śmiech, ilekroć padnie słowo: Turek.

„Taka u wszystkich pewność wygranej, takie lekceważenie wroga, jak gdyby chodziło o jakąś małoznaczącą wyprawę przeciw bandzie rozbójników, a nie o krwawą i okropną wojnę. Pociąg staje na jakiejś małej stacyi. Na peronie stoi tłum płaczących kobiet. Z okna wagonu słychać natychmiast gromką przemowę: Hej, baby, czego płaczecie? Jedziemy na wojnę, zwyciężymy i cały świat będzie podziwiał dzielnego Bułgara! Hurra!..“

Ciemno, noc, ogólne wyczerpanie i zmęczenie. Aż oto z kąta wstaje jakiś młody rezerwista, w strój narodowy przybrany. Zaczyna coś mówić, towarzysze skupiają się koło niego, potakują, ożywiają się. Mówca naraz wstaje i podnosi do góry kawałek płótna o barwach narodowych, na którym widnieje napis: „śmierć albo wolność“, a nad wielkiemi literami herb bułgarski: lew w koronie. Młody rezerwista całuje lwa, wszyscy czynią po kolei to samo i wznoszą do góry prawice. Słychać słowa: „przysięgam“. Scena ta uroczysta odbywa się w milczeniu, bez śpiewów, bez wiwatów“.



ZŁOTE MYSLI.

Nam strzedz zdrowia, światło szerzyć
I wyrabiać duch!
I z nadzieją w sercu wierzyć
W odrodzenia ruch!

Życie — to praca
Na wieczną przyszłość, nagrodę lub karę,
Więc sprawiedliwym Bóg pokutę skraca,
A niebem darzy za miłość i wiarę. *An. Kr.*



Nauka i rozrywka.

Wesoła Portugalia.

Znani ze swej wesołości i blagi Gaskończycy są niczem w porównaniu z Portugalczykami. Korespondent tygodnika francuskiego „Opinion“ znajdował się w Valencyi w chwili, kiedy oddział rojalistów, wkroczywszy w granicę Portugalii, stoczył nocną walkę z wojskami rządowemi. Całą noc bez przerwy trwała kanonada. Rano, kiedy huk wystrzałów ucichł, korespondent udał się na wywiad do obozu rojalistów.

— Straszna bitwa — informował dowódca oddziału — piekielna walka w ciągu sześciu godzin, a było nas tylko stu pięćdziesięciu przeciw pięciuset!

— Wielu zabitych i rannych? — zapytał korespondent.

— Ani jednego! — brzmiała dumnie odpowiedź.

Korespondent zasięgnął języka i w obozie republikańskim.

— Piekielna walka — mówił pułkownik rządowy. — Bitwa była tak zażarta, iż musieliśmy cofnąć się z powodu wystrzelania wszystkich ładunków.

Ilu zabitych i rannych?

— Ani jednego.

Dziennikarz przypuszczał w pierwszej chwili, że poprostu drwią sobie z niego, ale sprawdziwszy dobrze całą rzecz, znalazł odpowiedź na zagadkę: Walczono na odległość 3 do 4 kilometrów, a karabiny obu stron biją tylko na 1000 metrów.

W parę tygodni później wódz rojalistów Paiva Conceiros, który wykonał w 10 dni po owej „bitwie“ nieudany napad na Valencyę, opowiadał z iście portugalską wesołością:

— Republikanie zabrali mi 50 procent mojej artyleryi.

— Wiele pan miał bateryi?

— Dwie.

— Ile dział w każdej?

— Jedno.

Wogóle przesada jest zwyczajem Portugalczyków. Nawet w wojsku portugalskiem kawaleryę nie liczy się na ilość koni, lecz.... nóg końskich. W życiu codziennem dzieje się to samo. Na szyldach można spotkać takie napisy: „Piekarnia udziałowa. Kapitał 500,000 rejsów“. Rejs wart jest przy dobrym kursie pół centyma, t. j. pół grosza.

Cierpliwość.

Cierpliwość jest lepsza aniżeli mądrość. Gram cierpliwości ma te samą wartość, co i kilogram rozumu.

Niema człowieka, któryby cierpliwości nie chwalił, a przecież się mało kto odznacza nią w swojem życiu.

Ona jest lekarstwem na wszystkie choroby, a przecież mało kto wyznacza jej kątek w ogrodzie swoim, gdzieby właśnie mogła rozwijać się i róść. Cóż naturalniejszego jak żalić się i narzekać, kiedy nas co boli? Koń trzepie głową — gdy go muchy kłują, koło trzeszczy, gdy się coś przy niem złamało, a człowiek narzeka gdy mu niedobrze na świecie. O zachowaniu naszem atoli nie powinna stanowić sama tylko natura. Od jabłoni spodziewamy się więcej owocu niż od jakiegoś dzikiego chróstu, i zupełnie słusznie. Uczniowie cierpliwego Zbawiciela powinni sami być także cierpliwi. Przytnij wargi i znieś to — oto dobra stara rada: ale o wiele lepsza jest ta: Otwórz wargi i dziękuj Bogu i znoś, co zesłał na ciebie!

Jeżeli zważymy, że dosyć niedbale ciągniemy wóz swojego doczesnego życia, to się właściwie nie mamy na co skarżyć.

Szopen.

O złośliwościach Szopena nie wspomina nawet tak skrzętny badacz jego życia, jak p. Hösick. A jednak wielki mistrz miewał sól na języku, o czem świadczy następująca anegdota:

Pewna skąpa hrabina zaprosiła kiedyś Szopena na herbatę. Gdy uprzątnięto ze stołu, po nadzwyczaj skromnem przyjęciu, pani domu zwróciła się do mistrza z prośbą, ażeby cośkolwiek zagrał na fortepianie. Szopen zrazu wzdragał się, w końcu jednak wstał, zasiadł do fortepianu i odegrał cudnego, ale bardzo króciutkiego walca. Hrabina prosi go o więcej. Ale Szopen rzecze z uśmiechem:

— Nie, pani hrabino, ilość gry mojej stosuje się zawsze do ilości pożywienia.



Humor i Satyra.

— Cóż to za krzyk na podwórzu, poślijcie do krzykliwego lokatora, aby się uspokoił.

— Ba, kiedy to nie lokator, lecz gospodarz krzyczy, bo go ząb wściekle boli. Gospodarzowi wszystko wolno.

To prawda.

Profesor: Jaka to szkoda, mój panie, że pan, człowiek tak ogromnie praktyczny, nauczyłeś się tak mało!

Przemysłowiec: To prawda, panie profesorze, ale jaka to szkoda, że pan, człowiek tak uczony, tak mało jesteś praktyczny!

Samobójca.

— Patrz, to jest niepoprawny samobójca recydywista.

— Coo?...

— Ciągle się wiesza — na pańskich klamkach.

Potęga przykładu.

— Cesiu, jak możesz braciszkowi pokazywać język?

— To nie ze złości, mamusiu, bawimy się tylko w „pokazy“ ogrodnicze.

Na egzaminie.

Proszę mi powiedzieć, jakie są symptomaty wścieklizny.

Student milczy.

— No, co pies uczuwa wówczas? Czy ma gdzie jakie bóle?

— Przepraszam pana profesora, ale żadnego psa jeszcze o to nie pytałem.

Dał mu za to...

W pewnej miejscowości górskiej zamówił gość u gospodarza dwa osły. Przyprowadził je młody chłopak, który miał gościom służyć jako przewodnik. Gdy je wprowadził na podwórze, odezwał się gość żartobliwie:

— A, to jesteście wszyscy trzej...

Chłopak zadąsał się, że go nazywano osłem, ale nic nie odpowiedział.

Gdy wieczorem z wycieczki wrócił, pyta go się gość, ile się należy za wypożyczenie osłów.

— Dziewięć marek — odpowiada chłopak.

— Jakto? — pyta gość. — Toć płaci się tylko po 3 marki za osła.

— Słusznie, — odrzekł chłopak — ale kiedy byłem osłem, gdy tu przyszedłem, chcę też być osłem, gdy odchodzę.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego" upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi, Królowej Nieba i ziemi, poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty, lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski".

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną Górą.

Ostrzeżenie.

Wiele osób przybywających na Jasną-Górę przy poszukiwaniu lokalu Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“ bywa wprowadzanych w błąd przez ludzi złej woli, którzy z umysłu dają mylne informacye. Zwracamy przeto uwagę osób interesowanych, że Redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“, jak również i **zakład fotograficzny** tegoż „Dzwonka Częstochowskiego“ mieszczą się w kamienicy obok hotelu Krakowskiego pod № 19 **na piętrze**, a nie na dole.

Sklep z przedmiotami dewocyjnemi, który jest w tymże domu **na dole (na parterze) wcale nie należy** do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“.

Prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego" mogą nabywać po cenach zniżonych niżej wymienione dzieła:

Obrazy historyczne w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze—broszurowane 50 kop. w ozdobnej oprawie 1 rb. (za przesyłkę dopłaca się 20 kop.),

Wizerunki Dostojników duchownych w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze—50 kop (za przesyłkę osobno 17 kop.).

Książka do nabożeństwa, zawierająca piękne dawne modlitwy, które nasi dziadowie i pradziadowie odmawiali—w oprawie ozdobnej w płótno, ze złoconym brzegami 75 kop., w oprawie ozdobnej w skórkę ze złoconymi brzegami 1.00 kop., w oprawie skórkowej miękkiej 1.25 kop., w oprawie wytwornej fantazyjnej 1 rb. 75 kop. (za przesyłkę tej książki dopłaca się 30 kop.)

Z życia Adama Mickiewicza—popularny życiorys wieszcza, przez Stefana Gębarskiego, z portretem i w oprawie 80 kop., (z przesyłką pocztową).

W Administracyi „Dzwonka Częstochowskiego" są do nabycia:

Karty pocztowe kolorowane z widokami Jasnej-Góry — sztuka 5 kop. Serya z 12 kart 50 kop., z przesyłką 70 kop.

Przewodnik illustrowany po Jasnej-Górze w Częstochowie.—Część I z planem Jasnej-Góry, str. 134, illustracyj 60, 30 kop., na lepszym papierze 40 kop. Część II. **Skarbiec Jasnogórski,** 50 illustracyj, 25 kop., na lepszym papierze 30 kop. (Za przesyłkę jednej części dopłaca się 15 kop.) Obydwie części z przesyłką 80 kop., na lepszym papierze 95 kop.

Swięta Barbara — książka do nabożeństwa dla górników, w obrawie płóciennej 50 kop., w oprawie skórkowej 70 kop. (za przesyłkę 20 kop.).

Dobry katolik—Katechizm Rzymsko-katolicki, wraz z historyą Świętą, radami dla parafian i elementarzem, na którym tak dziecko, jak i dorosły może w krótkim czasie i z łatwością nauczyć się czytać, z illustryacyami 12 kop., z przesyłką 16 kop.

Dwór Niebieski, czyli modlitwa ś-tej Luitgardy — 8 kop., z przesyłką 10 kop.

Pamiętniki Majora—l. F. Kierzkowskiego — 1 rb.

Kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej kolorami wykonana 30 kop.

Obraz kolorowy, przedstawiający ołtarz z cudownym obrazem Matki Boskiej w kaplicy Jasnogórskiej 28×18 cali, cena 30 kop.

Portret ks. Augustyna Kordeckiego 30×22 cali, cena 30 kop.

Widok Jasnej-Góry w kolorach 28×20½ cali, cena 40 kop.

W szponach pruskiej hakaty z illustracyami, cena 45 kop.

Za przesyłkę wraz z opakowaniem jednego lub trzech obrazów dopłaca się 30 kop.



NOWE KSIĄŻKI.

Świeżo wyszła z druku książka pod tytułem *„Żywot Św. Paschalisa Baylo,* patrona czcicieli N. Sakramentu“. Przerobił z niemieckiego oryginału O. Auberta Groetcken ks. W. Krynicki.

Jak bardzo na czasie jest to wydawnictwo świadczą o tem uroczystości Kongresów Eucharystycznych, których patronem został uznany św. Paschalis Baylon jeszcze przez papieża Leona XIII w tych słowach: „Mocą najwyższej władzy Naszej ustanawiamy św. Paschalisa Baylon szczególnym patronem Kongresów Eucharystycznych i wszystkich stowarzyszeń, oddających się nabożeństwu do Najświętszego Sakramentu i spodziewamy się, że to nasze postanowienie obróci się na korzyść chrześcijaństwa“. Cena 50 kop.

Wierząca niewiara, dwie rozprawy o modernizmie napisane przez ks. Piotra Ostakiewicza i ks. St. Gajewskiego. Cena 30 kop.

Polacy w rozproszeniu. Tułacz tułaczom poświęca wspomnienie z piętnastu lat prac kapłańskich w Cesarstwie, — ksiądz Fryderyk Józefat Żyskar. Cena 1 rb.

Redaktor i Wydawca: **Ksiądz Józef Adamczyk.**

Drukarnia Polska. Warszawa. Jasna 18/20.